

Rok XXX

Nr e-115 (311)

Maj 2016

NA SZLAKU

Turystyka – Krajoznawstwo – Góry

Magazyn turystyczno-krajoznawczy



Z NASZEGO REGIONU

Wielka skała z małym wodospadem	Bartosz Skowroński.....	3
Krzyż pokutny w Wambierzycach	Marian Gancerski	4
Bolkowska warownia.....	Alina Dopart.....	5
Wrocławskie zajazdy	oprac. Stanisław Ziobro	7
Machnice na narty i nie tylko	Wojciech Radliński	8

OJCZyste SZLAKI

Na szlaku ogólnopolskiego spływu kajakowego (1)	Tomasz Pacholec	10
Szlaki Drogi Jakubowej w Polsce	Andrzej Rumiński	12
Moje oczy roześmiane	Renata Grześkowiak	12

TRASA MIESIĄCA

Zielony szlak z Bielicy na Halę pod Śnieżnikiem.....	Bartosz Skowroński.....	13
--	-------------------------	----

GLOBTROTER

Kościół św. Aleksandra w Kijowie	Janusz Fuksa	16
Jak inni chowają swoich bliskich	Janusz Szulc	17

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

Dzień talentów pełen	Zbigniew Curyl.....	18
Kamienne kręgi – wspomnienia z wyprawy	Maria Chrościcka	20
XII Dzień Otwarty Domów Przysłupowych	Anna Zygmata.....	22
Chcieli założyć koło PTTK. Mogą utworzyć oddział... ..	Jan Wędrownik	24
Ogólnopolskie Forum Przewodników Turystycznych PTTK ...	Stanisław Dziuba.....	26

EKOLOGIA NA SZLAKU

Jezioro Tarnobrzeskie – polski cud ekologii... ..	Marcin Piasek.....	28
Historia hydromasażu (1)	Anna Rumińska	31

PORADNIK TURYSTY

Lepiej nosić niż się prosić... ..	Juliusz Wysłouch	33
-----------------------------------	------------------------	----

U KRESU WĘDRÓWKI

Wspomnienie o prof. Krzysztofie Radosławie Mazurskim	Józef Partyka	35
Smutny Komunikat – zmarł Krzysztof R. Mazurski	Henryk Paciej.....	37
Żegnamy Krzysztofa R. Mazurskiego	Stanisław Dziuba.....	38

LISTY, OPINIE, DYSKUSJE

Dom Turysty już nie dla turysty	Juliusz Wysłouch	40
Komunikat	Gospodarze Schroniska PTTK Orlica	41
Sprostowanie	Wojciech Tumidajewicz	41

RECENZJE, NOWOŚCI

„Wędrowiec Małopolski”	Andrzej Rumiński	42
------------------------------	------------------------	----

Na okładce: Śp. Redaktor Naczelny Krzysztof R. Mazurski z synem Sobiesławem podczas CZAK-u w Krakowie w 2009 r. Fot. Andrzej Rumiński

Wielka skała z małym wodospadem

Niemal pośrodku Masywu Trójarbu na wysokości ok. 530 m na wschodnim zboczu bezimiennego wzniesienia (657 m), zwanego do 1945 r. Wolfsgruben, wyrasta spora formacja skalna. Jest jedną z najefektowniejszych wychodni zlepieńca w Górach Wałbrzyskich. Ma oryginalny kształt i jest osobiście położona. Tworzy charakterystyczny łuk – gigantyczny, stromy i wysoki próg skalny na dość łagodnym zboczu. W dolnej części skalnego progu można zobaczyć piękne, choć słabo wykształcone nisze skalne. W strukturze zlepieńców zwracają uwagę okazałe otoczaki. Nie one jednak najbardziej przyciągną oczy przypadkowych i nielicznych tu wędrowców.

Największą atrakcją gigantycznego progu skalnego jest bowiem mały wodospad. Ma ponad 3 metry wysokości. Efektowność jego jest tym większa, że znajduje się on niemal pośrodku skalnego progu. Na dzisiejszy wygląd progu mogła wpłynąć woda. Wprawdzie zlepieńiec, jako skała powstała ze żwiru zlepienego spoiwem, jest dość odporny na erozję i wietrzenie, jednakże woda robi swoje. Zapewne na skutek erozji płynącego tu potoku, który utorował sobie dolinkę, próg skalny w rejonie wodospadu położony jest najniżej.

Ilość spadającej wody jest oczywiście różna. W wilgotnych, deszczowych okresach można już z pewnej odległości usłyszeć szum bezimiennego potoku – lewobrzeżnego dopływu Chwaliszówki, który pionowo spada tu w dół. Gorzej jest w porach suchych. Wtedy wodospad może być „nieczynny”. Kiedy odwiedziłem to miejsce 15 lutego 2014 r., a więc w okresie prawie bezśnieżnej zimy, woda ledwo co się sączyła. Co ciekawe widać ją było tylko na samym wodospadzie i tuż powyżej niego. Niżej, pod stertami zbutwiałych liści, praktycznie nie płynął żaden ciek. Płynącą wodę zobaczyć można było w potoku dopiero gdzieś u stóp Czernicy (472 m).

Szkoda, że tak atrakcyjna, choć jedna z wielu, wychodni zlepieńca w Masywie Trójarbu, nie posiada oficjalnej polskiej nazwy. Za czasów niemieckich formacja określana była trafnie Wasser-Steine. Oddawało to jej wygląd. Krzysztof R. Mazurski określił ją swego czasu jako „Wodziaki” (Na Szlaku, nr e-7 (216) lipiec 2008, s. 18).

Dziś o tym miejscu wie niewiele osób. Nic dziwnego. Na większości map skalny próg jest co prawda zaznaczany, jednak sygnatur skały na mapach z Masywem Trójarbu jest dość sporo. Trudno zgadnąć, że ta akurat oznacza spory i efektowny skalny próg. Jakiegokolwiek szczęścia w opracowaniach kartograficznych nie ma natomiast rzadki w tej części Sudetów i ciekawy wodospad. Podobnie jak inny mało znany wałbrzysko górski wodospad w masywie Borowej, także i ten nie jest zaznaczany. Pomijają to miejsce także znakowane szlaki piesze, w tym trasy *ekomuzeum wokół Trójarbu*. Nie jest tu jednak trudno trafić. Idąc leśnym duktem doliną Chwaliszówki od strony Starych Bogaczowic trzeba na skrzyżowaniu dróg na wysokości ok. 395 m (koło miejsca odpoczynku i tablicy informacyjnej)



Wodospad na wychodni skalnej zwanej do 1945 r. Wasser-Steine w dniu 15 lutego 2014 r.



Fragment wychodni skalnej zwanej do 1945 r. Wasser-Steine

skręcić w prawo. Następnie należy podążać duktem do góry, przez mostek i na rozwidleniu dróg w lewo skos przez kolejny mostek. Droga zboczem Czernicy doprowadzi nas na przełęcz (ok. 450 m), między Czernicą a beziemiennym szczytem (ok. 490 m). Tam w prawo i drogą leśną cały czas do góry. Na jej ostrym zakręcie w prawo wyłoni się nam częściowo wielki próg skalny. Mały wodospad jest stąd niewidoczny. Trzeba wdrapać się jeszcze nieco do góry.

Jedna istotna uwaga. Nie należy podchodzić zbyt blisko kaskady. U jej „stóp” znajduje się ogromna sarta gnijących liści, a teren jest dość grząski.

Bartosz Skowroński

Krzyż pokutny w Wambierzycach

Historia stojącego przy ul. Wiejskiej 20 krzyża pokutnego związana jest z tragedią trojga młodych ludzi: bliźniaków GABRIELA i KAROLA PANNWIZA synów EMANUELA PANNWIZA z Łomnicy, ówczesnego właściciela Wambierzyc i hrabianki VLASTY VALESKIEJ dalekiej krewnej rodziny Reichenbachów właścicieli zamku w Ratnie Dolnym.

Latem 1595 roku w trakcie przejażdżki konnej, troje zaprzyjaźnionych młodych ludzi zatrzymało się przy istniejącym wówczas tartaku. Kiedy Vlasta zsiadła z konia pochwycił ją Gabriel i wsadził na swojego konia. Zazdrosny Karol kazał pannę puścić. Kiedy Gabriel odmówił doszło między porwczymi braćmi do sprzeczki, a ta przerodziła się w bójkę.

Z zadanych wzajemnie ran obaj bracia umierają. Zrozpaczona Vlasta, zapewne darząca uczuciem jednego z braci, rzuca się na koło tartaczne (napędzające tartak) i ginie tragicznie. Owo dramatyczne wydarzenie upamiętniły rodziny zmarłych i umieściły właśnie w tym miejscu, zachowany do dnia dzisiejszego krzyż kamienny.

Marian Gancerski



**Krzyż pokutny w Wambierzycach.
Fot. Piotr Gliszczyński**

Bolkowska warownia

Na skalnym wzgórzu w połowie XIII w. książę legnicki, Bolesław Łysy – znany bardziej pod przydomkiem Rogatka, rozpoczął budowę kamiennej fortecy. Dalsze prace kontynuował jego syn – książę świdnicko-jaworski Bolko I.

Wybór miejsca był doskonały, spiętrzenie góry, stromość zboczy, sprzyjały warunkom obronnym. Bolko I polecił zbudowanie wewnątrz najstarszej części zamku, wolno stojącą wieżę obronną, o charakterystycznym zarysie. Centralny punkt oporu ze ścianami kilkumetrowej grubości, posiadającą charakterystyczny „dziób” skierowany w stronę wjazdu na zamek. Takie rozwiązanie miało swe uzasadnienie, gdyż zamek od tej strony był najłatwiej dostępny dla atakujących wojsk. Ostrze usytuowane z tej strony miało – zapobiec zdobyciu wieży przez wroga oraz pozwalało skupić w tym miejscu większą ilość walczących i razić ogniem każdego zbliżającego się nieprzyjaciela. Ta oryginalna wieża obronna zwana też donżonem, czy wieżą ostatecznej obrony, jest jedyną na terenie całego kraju.

Jak zwykle najniższą kondygnację wieży przeznaczono na więzienie, do którego prowadziło jedno wejście w stropie lochu, od którego do dna było około 10 m. Do wieży można było się dostać jedynie z górnej krawędzi murów obronnych. Na jej szczyt prowadziły wąskie schody, biegnące spiralnie po wewnętrznych ścianach.



Wzgórze wraz z wieżą otoczono kamiennym murem. Na powstałym dziedzińcu znalazły się w ten sposób zabudowania zamkowe – siedziba kasztelana i kwadratowa wieża mieszkalna dla straży. Głęboko wykuta w skale studnia (co było istotne w owych czasach) zapewniała załodze możliwość długotrwałego oblężenia, lecz mimo to zamek był niejednorotnie zdobywany, szczególnie w XV w., podczas wojen husyckich i podbojów prowadzonych przez czeskiego króla Jerzego z Podiebradu.

Nie tylko rozwiązania architektoniczne wieży obronnej są godne uwagi, lecz również kamienne mury zamku jak i liczne baszty. Sprzężenie całego zespołu zamkowego z fortyfikacjami miasta, dać może każdemu właściwy obraz jak w dawnych wiekach wyglądały systemy obronne, jest to dobra lekcja pogładowa.

Zamek rozbudowywał się przez kilka wieków, kolejno za panowania książąt świdnicko-jaworskich, Bernarda, Bolka II zwanego Małym, powiększono budynki warowni w kierunku południowo-wschodnim. Zasadnicze zmiany przyniósł renesans, do rozbudowy przyczynił się i kierował pracami – na Śląsku, włoski architekt Jakub Parr. Rozbudowę rozpoczęto w roku 1540, kontynuowano do końca XVI w. Był to czas dalszej przebudowy, m.in. rozbudowa zewnętrznej linii fortyfikacji przystosowanych do broni palnej, dawnego budynku mieszkalnego. Dekorację zamku stanowiły renesansowe sgraffita, dziś zachowane w niewielu fragmentach.

W XVII w. nastąpiła dobudowa loggii do budynku renesansowego od strony dziedzińca. Dodatkowe linie obwarowań nowożytnych umożliwiały lepszą obronę zamku. W wyniku tej rozbudowy zamek zajmował łącznie powierzchnię 7600 m², można go zaliczyć do największych.

Wiek XVII to także skuteczna obrona w czasie wojny trzydziestoletniej, lecz nadchodzi rok 1640 – wówczas zamek nie wytrzymał oblężenia, znacznie ucierpiał po zajęciu przez Szwedów. Zniszczony został mur gotycki, trzy basteje, renesansowe krużganki. Szwedzki komendant co prawda

przeprowadził pewne remonty, lecz dotyczyły one jedynie elementów obronnych.

Ostatni właściciel sprzedali zamek w roku 1703, klasztorowi cystersów w Krzeszowie. Po sekularyzacji w roku 1810 dóbr zakonu, zamek przeszedł na własność państwa, opuszczony stawał się coraz większą ruiną. Silny orkan w 1863 r. zniszczył pewien odcinek korony murów, a gdy w roku 1885 zniszczenie tak postępowało, że zagrażało życiu publicznemu, przystąpiono do rozbiórki murów zagrażających zawaleniem się. Uzyskany materiał przekazano Towarzystwu Krajoznawczemu na naprawienie dróg.

W XX w. założono w Bolkowie Towarzystwo Opieki nad Zabytkami, które przystąpiło do odbudowy i zabezpieczenia ruin.

Dziś, po pracach konserwatorskich, mieści się tu muzeum poświęcone historii księstwa jaworsko-świdnickiego, jak i samego Bolkowa, w starych rycinach na tle innych zamków śląska, tablice genealogiczne Piastów, zbroje, kolczugi, miecze, kusze, halabardy, hakownice i inne. rodzaje broni palnej.

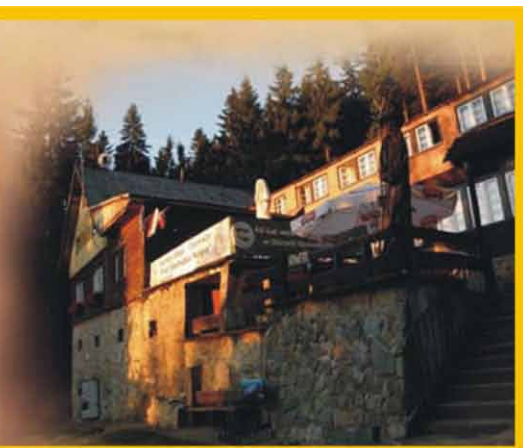
Zwiedzając eksponaty muzealne pomyślmy o przemijaniu, choć pokolenia świetnych rodów przemijają, to zostają po nich wspomnienia, pamiątki tętnące duchem tamtych czasów. Ruiny zamku górują nad miastem (396 m). Dołem płynie rwącym nurtem Nysa Szalona. Strome zbocza góry zdają się niedostępne dla wędrowców, a tuż przy ruinach piastowskiego zamku rozciąga się, lokowane w roku 1276, również ciekawe i godne zwiedzenia miasteczko – Bolków, z wydłużonym rynkiem, tak typowym dla urbanistyki średniowiecznych miast śląskich. Prawdziwą perłą tego miasteczka są ruiny piastowskiego zamku, to jednak warto zatrzymać się choć na chwilę i spojrzeć na stare domy z podcieniami w Rynku, Ratusz z XVI w., oraz bardzo interesujący kościół parafialny pw. św. Jadwigi, powstały w latach 1248-1252.



Widok z wieży w kierunku Zamku Świny

Alina Dopart
Fot. Piotr Dacko

Górski Dom Turysty
"Pod Biskupią Kopą"
48-267 Jarnołtówek 211
tel. 077/439-75-84
www.biskupiakopa.pl
e-mail: biskupiakopa@wp.pl



Zajazd „Pod Żółtą Gęsią”

Kupcy oraz podróżni, licznie odwiedzający Wrocław na przestrzeni wieków, najczęściej gościli w zajazdach. Były one połączeniem hotelików z gospodami. Adresy tych lokali były przekazywane innym podróżnym tej samej nacji, toteż pewne rejony miasta gościły na ogół przybyszów, mówiących tym samym językiem (np. rejon ob. Pl. Bohaterów Getta dawniej Żydowski zamieszkiwali Izraelici z ziem polskich).

Można wymienić najbardziej znane zajazdy, jak: leżące przy ob. ul. Kuźniczkiej „Pod Dwoma Polakami”, „Pod Czerwonym Polakiem”, „Stadt Warschau” oraz „Pod Żółtym Berłem”, zaś przy ul. Oławskiej – „Pod Białym Orłem” i „Pod Niebieskim Jeleniem”. Natomiast zajazd „Pod Polskim Biskupem” położony był na skrzyżowaniu ulic Pomorskiej i Św. Wincentego (do niedawna Obrońców Pokoju).

Jednym z najsłynniejszych obiektów tego typu była gospoda „Pod Żółtą Gęsią”. Jeszcze w 1945 r. pierwsi wrocławscy pionierzy mogli oglądać wypalone resztki zajazdu, leżące przy ob. ul. Ofiar Oświęcimskich 27-29. Do ruin można było się dostać poprzez zagruzowaną ulicę. Przy bliższych oględzinach, na wysokości drugiego piętra, dojrzeć można było godło gospody – okaleczoną, pozłacaną gęś. Tak niewiele pozostało, z niegdyś najbardziej eleganckiego i okazałego hoteliku, słynącego drzewiej ze znakomitej kuchni.

Tu warto przypomnieć, jakie znakomitości gościły w owym zajeździe.

Od 6 do 10 listopada 1830 r. przebywał w nim wówczas dwudziestoletni Fryderyk Chopin. Nasz utalentowany kompozytor i pianista trafił po raz trzeci do naszego grodu, tym razem w drodze do Pragi i Wiednia. Podczas swego pobytu artysta dał publiczny koncert w ówczesnej resursie kupieckiej (obecnie w tym miejscu znajduje się neobarokowy budynek Teatru Lalek przy Pl. Teatralnym 2).

Rok później gościem „Żółtej Gęsi” był nasz znakomity poeta i dramaturg, Juliusz Słowacki. Wyjechał on z kraju na zlecenie Powstańczego Rządu Narodowego z misją dyplomatyczną na zachód. Celem jego podróży były Drezno, Paryż i Londyn.

We Wrocławiu Juliusz przebywał ponad 2 tygodnie, od 10 III 1831 r., oczekując u władz pruskich na paszport umożliwiający mu dalszą podróż. Poecie podobały się strzeliste wrocławskie gotyckie kościoły. Natomiast samym zajazdem nie był zachwycony, o czym informuje w swym liście do ukochanej matki – Salomei: „(...) mieszkam z Gayem w jednym hotelu „Pod Żółtą Gęsią” – mam na drugim piętrze mały od dziedzińca pokój (...). Z resztą wszystko moje z sobą niosę, to jest mały tłumoczek, a w tłumoczku trochę bielizny i mnóstwo wierszy. Szkaradne wiersze wagę mego tłumoczka do 46 funtów podniosły...”.

W następnym liście do matki (już z Drezna), Słowacki wspomina swój pobyt w naszym mieście: „(...) Niegodziwy Wrocław – w „Goldener Gans” zdarli mnie okropnie, bo za dni 16 zapłaciłem 30. talarów i miałem tylko tę przyjemność, że mieszkalem w zupełnie starożytnej kamienicy, której dachy wyższe są niż trzypiętrowe ściany a pod dachami pieje kogut i krzyczą koty (...)”.

Poza wyżej wymienionymi, bywali w zajeździe: Edward Dembowski w 1843 r., a Kornel Ujejski i Wincenty Pol cztery lata później. Ten ostatni



Hotel goldene Gans :. Breslau

Hotel goldene Gans w 1925 r.

przebywał tu jako wysłannik naukowego pisma wydawanego wówczas przez lwowskie Ossolineum w ramach wycieczki do Poznania, Wrocławia, Lipska i na Rugię.

Niestety, mimo tylu słynnych Polaków, niegdyś ożywiających ten czcigodny zabytek, podjęto decyzję o jego całkowitej rozbiórce.

Decyzja ta była z pewnością technicznie uzasadniona, a jednak szkoda. Ten cenny obiekt, w razie odbudowy czy rekonstrukcji, przyciągnąłby na pewno turystów. Na szczęście godło niegdysiejszej gospody, owa pozłacana gęś, została uratowana. Otóż obaj wrocławscy dziennikarze wydobyli z ruin cenne kamienne ptaszysko. Przekazali je do Ossolineum. Podobno projektowano wówczas ową słynną gęś wmurować w fasadę gmachu na Pl. Solnym, gdzie miała się znaleźć siedziba Zakładu Narodowego. Jak dziś wiemy, nie zrealizowano tego zamierzenia.

Oprac. Stanisław Ziobro

Literatura:

Zygmunt Antkowiak, *Wrocław od A do Z*, Ossolineum 1991.

Tadeusz Mikulski, *Temat Wrocław*, Ossolineum 1975.

Polskie podróże po Śląsku w XVIII i XIX wieku, oprac. Andrzej Zieliński, Ossolineum 1974.

Machnice – na narty i nie tylko

Wiosenne wędrowki w okolicach Wrocławia są doskonałą okazją do wybrania się na pobliskie Wzgórze Trzebnickie zwane popularnie Kocimi Górami. Jadąc drogą krajową nr 5 Wrocław – Poznań, przed Trzebnicą dojeżdżamy do bardzo charakterystycznego, pagórkowatego miejsca jakim jest wieś Wysoki Kościół. Dominuje nad nią sylwetka poewangelickiego kościoła pw. Niepokalanego Serca Najświętszej Marii Panny. Z tego miejsca (205 m n.p.m.) stanowiącego południowy grzbiet Wzgórz Trzebnickich rozciąga się wspaniały widok na Wrocław. Jednak przy dobrej widoczności można też zobaczyć Ślężę, Góry Sowie i dalej... Karkonosze ze Śnieżką czy szczyty czeskich Sudetów. Mijając Wysoki Kościół skręcamy z drogi głównej w prawo i po przejechaniu 1 km dojeżdżamy do Machnic. Mijamy trzy stawy (możliwość wędkowania) i docieramy do centrum. I tu szok. Na pierwszy rzut oka typowa zapyziała wieś popegeerowska. Jednak widać tu jakieś inne budowle nowe, kolorowe, świeże jakby z innej bajki. Ale po kolei. Machnice – miejscowość w pow. trzebnickim, gminie Wisznia Mała wzmiankowana już w 1208 roku. Kilkadziesiąt lat później pojawiła się jej nazwa Villa Macnici. Przez wiele lat używano nazwy niemieckiej Machnitz powstałej z zniekształcenia pierwotnej nazwy powstałej najprawdopodobniej od wyrazu „mączyc” (mechlicht) lub „mącznica” (mehlloch). Można zatem przypuszczać, że wieś miała związek z piekarzami klasztornymi z pobliskiej Trzebnicy. Od 1811 r. majątek należał do rodziny von Obernitz i praktycznie aż do zakończenia drugiej wojny światowej pozostawał w jej rękach. W okresie późniejszym znajdował się tu PGR. Moritz von Obernitz dowódca batalionu muszkieterów w królewskim regimencie podczas wojen napoleońskich wykazał się wielkim męstwem. W nagrodę z rąk króla pruskiego otrzymał wysokie odznaczenie i wieś Machnice. W 1817 r. zlecił budowę pałacu



Pałac w Machnicach. Fot. Wojciech Ziarko

znanemu architektowi Carlo-
wi Gottfrietowi Geisslerowi,
uczniowi słynnego architek-
ta Carla Gotharda Langhansa
(twórcy m.in. Bramy Bran-
denburskiej w Berlinie). Dzi-
siaj klasycystyczny pałac, za-
łożony na planie prostokąta,
po przejściu przez osobę pry-
watną prezentuje się okaza-
le. Dwukondygnacyjny, pod-
piwniczony, murowany bu-
dynek, ceglany, otynkowany,
z zagospodarowanym podda-
szem przykryty jest łamanym
dachem czterospadowym.
Fasada południowa posiada
szereg ciekawych elementów
architektonicznych. Równie
ciekawa jest elewacja ogro-
dowa. Od frontu widać efekty
późniejszej częściowej prze-
budowy. Pałac położony jest na wzniesieniu i otoczony fragmentami dawnego parku. Wnętrza pa-
łacu są niestety niedostępne zwiedzającym. Jednak autorowi tego artykułu było dane w nich prze-
bywać i podziwiać z jaką pieczołowitością zostały odnowione. Znajdują się tam również pamiątki po
ostatnich przedwojennych właścicielach, z których potomkami utrzymywany jest kontakt. Innymi
zabytkami tej miejscowości są: spichlerz i budynki gospodarcze. Są też domy mieszkańców wsi, ale
nie są takie kolorowe jak pałac.



Wnętrze pałacu w Machnicach. Fot. Wojciech Radliński

Zaciekawiają jednak te nowe obiekty, wybudowane tu niedawno, w cieniu pałacu przez jego
obecnego właściciela. „Stary Folwark” – tak zwie się to miejsce, a w nim restauracja, sale bankietowe
i wystawiennicze. Tu także na wybudowanym obiekcie odbywają się zawody konne i to wysokiej ran-
gi jaką ma Polska Liga Jeździecka. Wiadomo, że powstanie też baza noclegowa. Jest też kryty kort te-
nisowy. Na koniec wiadomość dosyć sensacyjna: od niedawna funkcjonuje tu... stok narciarski. Jest
oświetlony, naśnieżany i ratrakowany! Więcej informacji bliżej zimy. Czyli na narty i sanki z Wrocła-
wia ok. 20 km w Kocie Góry. Oprócz przybycia do tej ciekawie rozwijającej się doliny od ważnej drogi
krajowej można tutaj dotrzeć inaczej. Nie tylko mieszkańcy miejscowości znajdujących się przy tra-
sie kolejowej Wrocław – Trzebnica chwalą sobie to połączenie. Turyści dzięki niemu, nowoczesnym
szynobusem Kolei Dolnośląskich mogą dotrzeć do wielu miejscowości Wzgórz Trzebnickich. Gdy
wsiądzie się na podtrzebnickiej stacji Brochocin to po kilku kilometrach marszu polnymi i leśnymi
drogami w pagórkowatym terenie dojdzie się do Machnic. Widoki jakie można obejrzeć na trasie
długo zostają w pamięci. Z zainteresowaniem przyglądać się będziemy jak rozwijają się Machnice!

**Autor serdecznie dziękuje obecnemu właścicielowi machnickich dóbr Edwardowi Ptakowi za
pozwolenie na dokładne ich zwiedzenie, a Paniom: Małgorzacie i Emili Ptak za pełnienie roli cicerone.**

Wojciech Radliński



NA SZLAKU
www.na-szlaku.net

**Polub nas
na Facebooku!**

Na szlaku ogólnopolskiego spływu kajakowego po nysie kłodzkiej organizowanego przez KTK „Ptasi Uskok” (1)

W Polsce pierwsze zalążki turystyki kajakowej rozwinęły się jeszcze za czasów kiedy nasz kraj znajdował się pod zaborami Prus, Rosji i Austrii. We Lwowie w ramach towarzystwa gimnastycznego „Sokół” w 1867 roku powstała sekcja kajakowa. W Galicji w 1884 roku powstało Krakowskie Towarzystwo Wioślarskie. W Królestwie Polskim zostaje utworzone Warszawskie Towarzystwo Wioślarskie w 1878 roku. Najpóźniej powstaje organizacja sportowa w zaborze Pruskim w 1893 roku zostaje utworzony Związek Sokołów Wielkopolskich. Z biegiem lat ten rodzaj turystyki i wypoczynku stawał się coraz bardziej popularny co przyczyniło się do powstawania nowych sekcji kajakarskich czy też wioślarskich. Zostają wytyczone szlaki kajakowe a z roku na rok organizowane są coraz to nowsze imprezy, które przyciągają jeszcze większą rzeszę zagorzałych fanów kajakarstwa. Do największych imprez kajakowych w Polsce cieszącymi się pięknymi tradycjami i ciągłym zainteresowaniem zalicza się:

- Międzynarodowy Spływ Kajakowy na Dunajcu,
- Międzynarodowy Spływ Kajakowy na Mazurach,
- Międzynarodowy Spływ Kajakowy na Brdzie,
- Międzynarodowy Spływ Kajakowy „Złote Liście”.

Klub Turystki Kajakowej „Ptasi Uskok” działa już od ponad 39 lat. Obecnie w ciągu roku organizuje lub bierze udział w ponad 22 spływach w tym w Międzynarodowym Spływie Kajakowy „Złote Liście”, który odbywa się we wrześniu. Ponadto KTK „Ptasi Uskok” poszerza swoje horyzonty pływając po rzekach i jeziorach poza granicami naszego kraju. Miedzy innymi organizuje spływy po Wełławie w Czechach, jeziorze Poczdamskim w Niemczech czy też po rzece Salza w Austrii. „Wędrówki” po rzekach, które organizuje lub bierze udział KTK „Ptasi Uskok” zasadniczo odbywają się w ciągu całego roku w tym również zimą. Okres trwania spływów waha się od jednego dnia do dwóch tygodni i organizowane są na terenie całego kraju. Uczestniczą w nich członkowie klubu jak i ludzie, którzy nie przynależą do klubu.

Ogólnopolski spływ kajakowy po Nysie Kłodzkiej organizowany jest zawsze co rok podczas trwania długiego weekendu majowego już od 1993 roku. Ma ona charakter otwarty i przeznaczony jest dla ludzi, którzy lubią aktywnie wykorzystać swój wolny czas. Często biorą w nim udział kluby kajakowe z całej Polski oraz ludzie, którzy nie przynależą do żadnego z klubów. Z roku na rok zdobywa on coraz większą popularność, stąd też liczba uczestników w spływie często przekracza ponad sto osób. Spływ ten zwykle trwa około 5 dni i odbywa się etapami.

Nysa Kłodzka, po której odbywa się spływ kajakowy to lewobrzeżny dopływ Odry. Posiada źródła w Masywie Śnieżnika, w górnym biegu płynie Rowem Górnej Nysy, później przez Ziemię Kłodzką, następnie przez Góry Bardzkie, które



Panorama Barda Śląskiego. Fot. www.bardo.pl

rozcina na pół. W kilku miejscach tworzy malownicze przełomy w tym najpiękniejszy – Przełom Nysy Kłodzkiej koło Barda. Dla kajakarzy dostępna w zasadzie tylko na wiosnę, gdyż później może wystąpić niedobór wody, przez co jej skaliste dno uniemożliwia płynięcie.

Pierwszy etap spływu rozpoczyna się niedaleko wsi Zabłocić. Jest to wioska oddalona o 20 km od Kłodzka i 4 km od Bystrzycy Kłodzkiej. Jest to najwyżej położona część spływu przez co nurt jest na nim największy lecz mało niebezpieczny. W czasie płynięcia zdarzają się tak zwane „przenoski” czyli miejsca niebezpieczne, w których kajak trzeba przenieść po brzegu o kilka lub kilkanaście metrów do przodu w celu ominięcia przeszkody takich jak powalone drzewa czy jazy.

Odcinek jest do przepłynięcia w około 4 godziny i kończy się w Kłodzku. W miarę możliwości, chęci i sił część kajakarzy ma czas, aby po skończonym etapie pójść w stronę miasta pozwiedzać lub zjeść coś ciepłego. A w Kłodzku znajduje się twierdza z najcenniejszym zespołem fortyfikacyjnym z XVII-XVIII wieku, będąca przykładem klasycznym i unikatowym wzorem architektury obronnej tego okresu. Stanowi ona bardzo skomplikowany układ militarny, który niezwykle trudno sobie wyobrazić, a cóż dopiero opisać. W skład całego kompleksu wchodzi: Twierdza Główna, fort posiłkowy Owcza Góra, obwarowania miejskie (dziś już tylko fragmentaryczne) i umocnienia polowe – zespół ten zajmuje powierzchnię ok. 30 ha, ma 800 metrów długości w linii północ-południe i 400 metrów w linii wschód-zachód (tylko Twierdza Główna), przy czym o jego najniższych kondygnacjach, które praktycznie nie zostały jeszcze szczegółowo zbadane, mamy najmniej wiedzy i mało prawdopodobne, aby wkrótce udało się ją zgłębić. Pomimo upływającego czasu twierdza znajduje się w dobrej kondycji technicznej, niestety ze względu na brak funduszy oraz przeszkody natury prawnej, pomimo ambitnych planów władz miejskich utworzenia tutaj Fortecznego Parku Kulturowego jak na razie udostępniony jest w formie szlaku turystycznego zaledwie mały fragment w rejonie bastionu Wysokiego. Znajduje się tam ekspozycja związana z zamkiem i jego dziejami na przestrzeni wieków, izba pamięci więźniów z okresu II wojny światowej, mauzoleum martyrologii Finów, lapidarium rzeźby, wystawa szkła artystycznego i dawnego sprzętu pożarniczego. Największą atrakcją jest chyba jednak widok, jaki rozpościera się z Góry Zamkowej na miasto i ziemię kłodzką z rysującymi się w oddali masywami Gór Stołowych oraz Śnieżnika. Ponadto dla odważnych otwarto krótki odcinek labiryntu chodników minerskich o długości ok. 1 km (wejście tylko w grupach z przewodnikiem) – łączną długość wszystkich podziemnych korytarzy szacuje się na ok. 50-100 km. Położony na drugim brzegu Nysy Kłodzkiej fort Owcza Góra jest obecnie niedostępny dla turystów. Ponadto W Kłodzku wart polecenia, zobaczenia jest Kościół Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, którego budowę rozpoczęli joannici w połowie XIV stulecia. Jest często określany jako największy zabytek na Ziemi Kłodzkiej, gdyż jego walory architektoniczne i wystrój czynią z tego obiektu niezwykłą skarbnicę dzieł sztuki. Ciekawy jest także Średniowieczny most gotycki, który swą formą i wystrojem rzeźbiarskim przypomina Most Karola w Pradze, z którym bywa porównywalny. Zabytek wieńczy sześć grup z figurami. Interesujący jest także Kościół Matki Boskiej Różańcowej wybudowany w obecnej formie w I połowie XVII w oraz Ratusz obecna siedziba władz samorządowych.

Po zakończeniu zwiedzania kajakarze przewiezieni są autokarem do miejsca noclegu na terenie ośrodka wypoczynkowego w Bartnikach. Tam po rozbiciu namiotów, umyciu się i posileniu, wieczorem przychodzi przy ognisku czas na podsumowanie dnia przez komandora wyprawy, a następnie kto ma chęć i jest głodny piecze sobie kiełbasy przy ognisku oraz śpiewa w rytm gitary.

cdn.
Tomasz Pacholec



Szlaki turystyczne

Drogi Jakubowej w Polsce



	Data utworzenia	Nazwa trasy	Trasa	Odległość
1.	24.07.2005	Dolnośląska Droga św. Jakuba	Giogów-Zgorzelec	164 km
2.	6.11.2006	Wielkopolska Droga św. Jakuba	Gniezno-Poznań-Głogów	234 km
3.	Maj 2006	Droga Zytawska	Zgorzelec-Praga	157 km
4.	2006	Droga Polska	Olsztyn-Gietrzwałd	18 km
5.	2007	Droga Polska	Gietrzwałd-Toruń	155 km
6.	2008	Małopolska Droga św. Jakuba	Sandomierz-Kraków	200 km
7.	2009	Droga Polska	Toruń-Trzemeszno	108 km
8.	2009	Dolnośląska Droga św. Jakuba	Murowana Goślina-Słubice	164 km
9.	2009	Droga św. Jakuba Via Regia	Pilzno-Kraków-Zgorzelec	708 km
10.	2009	Lęborska Droga św. Jakuba	Sianowo-Lębork-Smołdzino	100 km
11.	2008-2010	Sudecka Droga św. Jakuba	Jelenia Góra-Lubań	105 km
12.	2009	Słęzańska Droga św. Jakuba	Sleza-Sobótka-Sroda Śląska	55 km
13.	2009	Miedziana Droga św. Jakuba	Scinawa-Lubin-Chocianów	45 km
14.	2009	Nyska Droga św. Jakuba	Głucholazy-Nysa-Storogoszcz	100 km
Razem				2313 km

Źródło: opracowano na podstawie www.re-create.pl

Jak wynika z danych zawartych w tabeli ogólna suma odcinków Drogi Jakubowej w Polsce wynosiła ponad 2000 km a jeśli uwzględnione zostaną pętle i drogi alternatywne to można szacować jej długość na ponad 2500 km.

Andrzej Rumiński

Moje oczy roześmiane :)))

*Do tej pory śmieją mi się oczy
Nakarmione widokiem Tatr
Zachwycona pejzażem uroczym
Wsluchuję się w górski wiatr
Ziab na stopach czuję przenikliwy
Gdy potokiem rwącym je przemywam
Dreszcz przechodzi w pisk radosny
Jestem szczęśliwa*

*Darowałeś mi przygodę
Chwil radosnych bukiet dałeś
Z głębi serca Ci dziękuję
Że mnie tam zabrałeś :)))*

Renata Grześkowiak

Zielony szlak z Bielic na Halę pod Śnieżnikiem

Prawie cały czas, poczynwszy od wierzchołka Iwinki (1079 m) aż do zachodniego stoku Śnieżnika (1426 m), turysta wędrujący tytułowym szlakiem będzie co chwilę mijał słupki graniczne. Wprawne oczy wędrowca dostrzegą być może na niektórych z nich jak to przedwojenne niemieckie oznaczenia „D” przerobiono na polskie „P”. Polak potrafi. Ale Czech również. W miejscu oznaczenia nieistniejącego już państwa, sygnowanego na nich jako „CS” trochę chyba w jeszcze mniej udany sposób umieszczono bowiem gdzieś tam oznaczenie Republiki Czeskiej – „C”. Teraz wędrować można tu legalnie. Nie zawsze jednak, już po 1945 r., tak było. Utrudnienia w dostępie do strefy nadgranicznej skutecznie uniemożliwiały turystyczną penetrację tych, przedzielonych granicą, gór.

Turysta, który w Bielicach chciałby rozpocząć wędrówkę zielonym szlakiem w stronę Masywu Śnieżnika musi się udać w górną część tej wsi. Nieco ponad jej ostatnie zabudowania. Na wysokości tamtejszego leśnictwa znajduje się drewniany szlakowskaz, o konstrukcji jaka swego czasu była „na topie” w nieistniejącym już województwie wałbrzyskim. Umieszczono na nim tabliczkę kierującą wędrowców zielonym szlakiem. Jednak *de facto* szlak ten, prowadzący wcześniej granicznym grzbietem Gór Złotych, wkracza na drogę w dolinie Białej Łądeckiej nieco wyżej. Wędrowiec czytający na wspomnianym szlakowskazu miejsca, do których prowadzi zielony szlak może być nieco zmieszany. Na pewno nie wskazaną na nim Puszczą Jaworową. Ale już „nazwą” „PRZEŁ. PŁOSZYNA” owszem. Nic tylko się spłoszyć. Przełęczy takiej nie ma bowiem na trasie wędrówki tym szlakiem. Jest za to przełęcz Płoszczyna (817 m), którą z całą pewnością miał, a przynajmniej powinien mieć, na myśli twórca napisu na tablicy. Turysta wędrujący po chwili już zielonym szlakiem może mieć też inny problem – w jakim paśmie górskim Sudetów Wschodnich aktualnie się znajduje. Przez lata polscy autorzy opracowań o Sudetach pisali, że górna Biała Łądecka oddziela Góry Złote od Gór Bialskich. Te ostatnie traktowano tym samym jako odrębne pasmo górskie. Później pojawiła się, skądinąd chyba słuszna teoria, iż Góry Bialskie są częścią Gór Złotych. Turysta dreptający więc wykorzystywanym często do zwózki drewna złotogórskim duktem wkracza na teren wyludnionej Nowej Bieli. Dziś trudno uwierzyć, że niegdyś żyli tu ludzie. Gdyby nie, możliwe tu do spotkania, pojazdy zwożące drewno, można by odnieść wrażenie, że jest tu dzika głusza leśna, góry i rzeka. Taki obrazek turysta będzie miał i na najbliższym etapie wędrówki. Kto wie czy i ile razy drogą w dolinie Białej Łądeckiej jeździł Marek Hłasko – pisarz, który krótki epizod swojego zawodowego życia spędził w tu-tejszych lasach pracując przy zwózce drewna.

Szlak zielony, po skrócie w prawo, wyprowadza tymczasem turystę z drogi w dolinie na węższą i dość stromo się pnącą ścieżkę. W ten sposób idąc dalej piechur dotrze do granicy rezerwatu Puszcza Śnieżnej Białki, utworzonego w 1963 r. Choć wcześniej, przed 1945 r., istniał tu już rezerwat przyrody. Szlak



**Na granicy Polski i Czech oraz na skraju rezerwatu przyrody
Puszcza Śnieżnej Białki**

prowadzący przezeń, a później wzdłuż granicy państwowej, łączący m.in. Bielice z Masywem Śnieżnika istniał na pewno w 1971 r. Potwierdza to wydana w tym roku mapa turystyczna. Nie był to jednak szlak zielony, a niebieski. Na wydanej w 1974 r. mapie trasa ta oznaczona została już jako szlak zielony.

Niedaleko od granicy rezerwatu, do którego zielonym szlakiem wkracza turysta (wolno w nim wędrować tylko szlakiem!) znajduje się samoobsługowy schron turystyczny. Jego drewniane ściany „zdobią” napisy tych, którzy swoją wizytę w tym miejscu chcieli w taki właśnie sposób uwiecznić. „Dzięki” temu dość trudno pewnie będzie się zgodzić niejednemu turyście z poglądem, iż Góry Bialskie w ich południowej części to jedna z najdzikszych i najbardziej odludnych części polskich Sudetów. Choć jest w tym coś z prawdy. Najbliższymi zabudowaniami mieszkalnymi tej części polskich Sudetów są bowiem domostwa Bielic. „Worek biały” zaś to obszar niezamieszkały. No ale wędrowiec jest tu i teraz. Aby odwiedzić schron zgodnie z tabliczką trzeba przejść od właściwego szlaku zielonego 150 m. Rzadki to przypadek w polskich górach, aby tabliczka PTTK-owskiego szlaku wskazywała odległość a nie czas marszu. „Główny” szlak zielony w rezerwacie prowadzi tymczasem wędrowca wśród pięknego lasu, który przed laty doceniła sama księżna Marianna Orańska. Tutejsze lasy to w dużej mierze zbliżony do naturalnego ostęp pierwotnej puszczy sudeckiej. Wędrowiec kroczący wśród drzew zielonym szlakiem znajduje się na pograniczu dwóch pięter roślinności górskiej: regla dolnego i regla górnego. To ostatnie pojawia się mniej więcej w rejonie wierzchołka wspomnianej już Iwinki. Widać, że to już nie ten sam las co w dolinie Białej Łądeckiej. Tam na zakręcie szlaku oczom turysty pojawi się też pierwszy raz na opisywanej trasie słupek graniczny. Do tego miejsca od początku opisywanej trasy wędrowiec dotrze, licząc sam tylko marsz przy dobrej pogodzie w warunkach letnich, w 2 g.

Chwilę potem turysta opuści już rezerwat. Piętra regla górnego jednak jeszcze nie. W jego strefie leży bowiem wyniosła góra „do zaliczenia” na opisywanej trasie – Rudawiec (1112 m). Niegdyś tutejszy bór musiał być piękny. Dziś w partii szczytowej sterczą kikuty obumarłych drzew. Dla turysty ma to jednak i plusy. Punktowo z partii wierzchołkowych można obejrzeć piękną panoramę okolicznych gór. Widać nawet, nieco zza drzew, najwyższy na opisywanej trasie szczyt – Śnieżnik.

Od Rudawca rozpoczyna się, aż po przełęcz Płósczynę, dość monotony odcinek szlaku. Wąska ścieżka, generalnie lekko w dół, prowadzi wędrowca wśród lasu, w podłożu którego pełno tu borówczysk.

Panoram górskich z tego odcinka trasy nie ma prawie żadnych. Urozmaicheniem zielonego latem krajobrazu są tu praktycznie tylko białe słupki graniczne z czerwonymi „kapturkami”. Gdzieś niedługo pojawi się jakieś bezodpływowe zagłębienie, w którym stoi woda. I w zasadzie tyle. Bez dobrej mapy i umiejętności jej czytania turysta w dość łatwy sposób przegapi mijane na tym odcinku obiekty fizjograficzne. No bo po czym poznać np. takie Rude Krzyże (1053 m), pomyśli zapewne niejednak amator opisywanej trasy. Trudniej przegapić Jawornik Graniczny (1030 m). Nie jest to jednak „zasługa” charakterystycznych cech wierzchołka tej góry, ale tabliczki przyćwieczonej do jednego z rosnących tam drzew. Od wspomnianego wzniesienia nieco ponad 1 g marszu (4,30 g od początku opisywanej trasy) wystarczy aby osiągnąć obniżenie w grzbiecie górskim. I to nie byle jakie. Przełęcz Płósczyna, bo o niej mowa, oddziela zaliczane do Gór Żółtych Góry Bialskie od Masywu Śnieżnika. Prowadzi przez nią asfaltowa szosa, która na siodle przekracza granicę Rzeczypospolitej Polskiej i Republiki Czeskiej. Każdemu rzuci się tu w oczy „Horská chata Sedlo”, ulokowana w budynku dawnego przejścia granicznego. Infrastruktury nastawionej na turystów jest tu jednak znacznie więcej. Palenisko na ogniska, ławki i sporo tablic. Na jednej z nich da się wyczytać nawet nieprawdziwe informacje, jakoby gmina Stronie Śląskie leżała „na krańcu Kotliny Kłodzkiej”, co jest ewidentnym błędem.



Zniszczony las na Rudawcu

Od przełęczy zielony szlak wyprowadza tymczasem wędrowca łagodnie na kulminację Płoszczyńca (ok. 845 m), po czym sprowadza na niewielkie obniżenie. Z niego ścieżka wznosi się znów nieco mozolniej w rejon wierzchołka Rykowiska (ok. 950 m), choć przez sam szczyt nie prowadzi. Na trasie ponownie tylko ścieżka, świerki, trawa lub borówczyska i praktycznie żadnych widoków na leżące niżej okolice. Taki jest w tej części Masyw Śnieżnika. Sam Śnieżnik stanowi rozróg. Od wierzchołka góry wybiega promieniście kilka ramion. Nie bez powodu Tomasz Rzeczycki podrozdział swojej książki „Góry Polski” opisujący Masyw Śnieżnika opatrzył podtytułem „Świerkowa ośmiornica”.



Zielony szlak na wierzchołku Śnieżnika

Nim jednak turysta osiągnie Śnieżnik czeka go jeszcze na trasie m.in. zejście ścieżką na przełęcz Siodło Martena. Jak na przekorę na szlakowskazie turysta przeczyta tu informację jakoby znajdować się miał w Głębokiej Jamie (950 m). Tak naprawdę Głęboka Jama, oficjalnie Jama, znajduje się sporo niżej. W jej stronę, choć nie do niej samej, można stąd zejść szlakiem żółtym prowadzącym później piękną doliną Kamienicy do Bolesławowa. Tak czy inaczej siodelko to dobre miejsce na odpoczynek. Warto z niego skorzystać. Chwilę później serce niejednego wędrowca może bowiem zacząć bić mocniej. Nic dziwnego. Rozpoczyna się dość wymagające wejście na Śnieżnik. Ścieżka, którą wiedzie zielony szlak jest stąd początkowo bardzo stroma. Nagrodą będą jednak później rozległe widoki, rozciągające się z trasy. Zarówno na wprost wyżej – bezleśna kopuła Śnieżnika jak i na prawo, oraz do tyłu, mniej na lewo. Bliższe i dalsze pasma górskie stąd widziane (dostrzec się da nawet najwyższy szczyt Sudetów Wschodnich – Pradziad) na pewno w jakimś stopniu wynagrodzą trudy wędrowki.

Trzeba tu jednak uważać na znaki. Po wyjściu na spłaszczenie grzbietu, oznaczane w tym miejscu na mapach jako Sadzonki (ok. 1230 m) dość łatwo zejść na czeski szlak czerwony, prowadzący momentami też wzdłuż granicy. W końcu amator zielonej, znakowanej trasy, idąc nią opuści na dobre piętro regła dolnego i znajdzie się w wyżej leżącym piętrze regła górnego. Znowu widać, że las ma tu już inny charakter. Dość żmudne podejście ścieżką pozwala w końcu na osiągnięcie górnej jego granicy, a tym samym wkroczenie w świat piętra subalpejskiego. Łąki, sztucznie wprowadzona gdzieś tam tylko kosodrzewina i bardzo rzadko gdzie pojedyncze, niskie, „przypadkiem się tu znajdujące” świerki. Taki obrazek tego fragmentu szlaku. Nagrodą jest wierzchołek Śnieżnika. Jeśli turysta trafi na dobrą widoczność może zeń podziwiać naprawdę wiele.

Trzeba tu jednak uważać na znaki. Po wyjściu na spłaszczenie grzbietu, oznaczane w tym miejscu na mapach jako Sadzonki (ok. 1230 m) dość łatwo zejść na czeski szlak czerwony, prowadzący momentami też wzdłuż granicy. W końcu amator zielonej, znakowanej trasy, idąc nią opuści na dobre piętro regła dolnego i znajdzie się w wyżej leżącym piętrze regła górnego. Znowu widać, że las ma tu już inny charakter. Dość żmudne podejście ścieżką pozwala w końcu na osiągnięcie górnej jego granicy, a tym samym wkroczenie w świat piętra subalpejskiego. Łąki, sztucznie wprowadzona gdzieś tam tylko kosodrzewina i bardzo rzadko gdzie pojedyncze, niskie, „przypadkiem się tu znajdujące” świerki. Taki obrazek tego fragmentu szlaku. Nagrodą jest wierzchołek Śnieżnika. Jeśli turysta trafi na dobrą widoczność może zeń podziwiać naprawdę wiele.

Schodząc ze Śnieżnika znowu trzeba uważać by nie pomaszerować czeskim szlakiem czerwonym. Na ścieżce trzeba się generalnie trzymać prawej strony. Szybko z piętra subalpejskiego wprowadzi ona turystę do świerkowego boru górnoreglowego. I tak też dowędruje on na Halę pod Śnieżnikiem. Opisywaną trasą (nieco ponad 20,5 km) osiągnie ją w warunkach letnich, przy dobrej pogodzie, licząc sam marsz w 9,30 g. Licząc oczywiście od miejsca, gdzie w Bielicach zielony szlak wkracza na drogę w dolinie Białej Łądeckiej. Z postojami rzecz jasna dłużej. Na Hali pod Śnieżnikiem strudzony wędrowiec ma okazję odpocząć, a nawet zanoć w Schronisku PTTK „Na Śnieżniku” im. Zbigniewa Fastnachta. Warto jednak wcześniej zadbać o rezerwację. Kto ma siłę i bardzo chce zejść „na dół” może np. udać się czerwonym szlakiem do centrum Międzygórza. Warto wiedzieć, że idąc czerwonym szlakiem (fragment GSS) pierwsze zwarte zabudowania tej wsi da się osiągnąć po przejściu spod schroniska 1 godz. 10 min., licząc sam tylko marsz. A opisywany odcinek zielonego szlaku z Bielic na Halę pod Śnieżnikiem już sam w sobie jest wymagający. Zdecydowanie dla bardziej doświadczonych turystów. Przejście do Międzygórza po przebyciu zielonego szlaku z Bielic to dodatkowy wysiłek. Należy o tym pamiętać.

Warto też dodać, że do Bielic, stanowiących punkt startu opisywanego fragmentu szlaku zielonego, autobusy docierają bardzo rzadko. Wręcz iluzorycznie. Koniecznie trzeba „przestudiować” wcześniej rozkład jazdy.

Bartosz Skowroński

Kościół św. Aleksandra w Kijowie

W „Na Szlaku” nr e-94 z 8/2014, opisując dzieła wybitnego polskiego architekta Władysława Horodeckiego w Kijowie, wspomniałem o neogotyckim kościele św. Mikołaja, który ukończono w 1909 r. za panowania cara Mikołaja II, nosił więc kościół imię świętego carskiego patrona.

Prawie wiek wcześniej na działce w górnej części ulicy Kościelnej, która od Górnego Miasta stromo schodzi do Chreszczatyku, kijowscy Polacy zaczęli wznosić kościół rzymskokatolicki. W tym miejscu na Ladskiej Słobodzie już wcześniej stał, co prawda, niewielki drewniany kościółek, ale spalił się na początku XIX wieku. Aby uzyskać zgodę na budowę świątyni, jej bogaci inwestorzy napisali w petycji do cara, że chcą ją wznieść na cześć carskiego zwycięstwa nad Napoleonem i nazwać imieniem carskiego świętego patrona. Poskutkowało. Imperator i samodzierżca Wszechrusi Aleksander I (takiego używał tytułu) wyraził zgodę 7 lipca 1815 r.

Budowlę zaprojektował architekt Vincenz Baretta, a jej wznoszenie dokończył architekt Franciszek Miechowicz, który był profesorem nowo powstałego Uniwersytetu św. Włodzimierza. Budowa klasycystycznej świątyni trwała ponad 20 lat (1817-1838). Przyczyny były prozaiczne: brak środków pieniężnych, które pochodziły od polskich przedsiębiorców. Później, gdy od 1842 r. trwało wyposażanie wnętrza kościoła, wprowadzono dodatkową daninę po 1200 rubli od każdego powiatu. Dopiero kiedy do sumy zebranych środków swoje dorzucili książęta August i Dariusz Poniatowscy, udało się w 1847 r. zakończyć prace dekoracyjne we wnętrzu świątyni. Kościół i uliczka przed nim stały się miejscem coniedzielnich spotkań kijowskich Polaków. Tu można było spotkać najwybitniejszych z nich, porozmawiać o interesach i wspólnych sprawach, a polska młodzież miała okazję do nawiązywania nowych znajomości.

W czasach radzieckich od 1937 r. budynek przekształcono w hotel robotniczy, dobudowawszy dodatkowe przepierzenia. Później od 1945 r. było tu planetarium. Jako ekran służyła kopuła pomalowana wewnątrz na biało, a obraz na nią rzucała nowoczesna aparatura projekcyjna z Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Oglądałem wówczas pokaz nocnego nieba nad Kijowem. W latach 80. urządzono tu muzeum religioznawcze. W 1990 r. władze miejskie zwróciły budynek kijowskiej parafii rzymskokatolickiej. Rozpoczął się remont wykonywany przez polskie firmy budowlane pracujące na Ukrainie. Trzeba było usunąć wewnętrzne kondygnacje i przywrócić świątyni pierwotny wygląd. Zajęło to kilka lat. Od 1995 r. kościół służy wiernym, wśród których są nie tylko Polacy, dlatego nabożeństwa odprawiane są w różnych językach. A w przedsionku, na wzór cerkiewnych zwyczajów, można kupić wydawnictwa religijne.

Janusz Fuksa



Jak inni chowają swych bliskich

Nie wszyscy ludzie, tak jak my chowają swych bliskich na cmentarzach – w ziemi lub kolumbariach, w trumnach lub w urnach po spopieleniu. Poniżej kilka ciekawostek, jak robią to inni :

1. Indie. Rzeka Ganges jest gigantycznym „cmentarzem” dla prochów, które bliscy palą po śmierci kogoś ich rodziny. Ciało wcześniej nasmarowane olejami, które przyspieszają spalanie, układa się na stosie z drewna i podpala. Prochy rozsypuje się nad rzeką. Jednak nie wszystkich stać na drewno i ciało nie zawsze zostaje całkowicie spalone, dlatego zdarza się, że w Gangesie pływają ludzkie szczątki.

2. Mnisi w Tybecie zawierają ciała zmarłych „świętym sępom”. Po śmierci nacinają zwłoki zmarłego i wystawiają je na pożarcie ptakom. Kiedy te ogołocą nieboszczyka do kości, mnisi miażdżą je i ponownie oddają sępom. W ten sposób wierzą, że wraz z ptakami zmarły trafi do nieba.

3. Lud Persów zamieszkujących Indie także „wykorzystuje” do „pochówku” sępy. Na cmentarzach budują wysokie platformy, na których kładą ciało. Nieboszczyk wystawiony na działanie promieni słonecznych szybciej się rozkłada, wabiąc padlinożerców.

4. Żydzi. Po śmierci Żyda trzeba zasłonić wszystkie lustra w domu, a na oczy zmarłego położyć skorupki. Pogrzeb powinien zostać zorganizowany w ciągu doby od śmierci. Ważnym zwyczajem jest kerija – darcie szat przez bliskich. Po śmierci rodziców drze się szaty po lewej stronie, po śmierci dzieci, rodzeństwa lub małżonka po prawej.



5. Buddyjscy mnisi w Chinach zamieszkujący klasztory wysoko w górach, pozostawiają ciała zmarłych dla pielgrzymów. Nieboszczyk chowany jest w pozycji siedzącej w glinianej beczce, wcześniej owijany jest bandażami i papierem, dzięki temu hamują proces rozkładu zwłok.

6. Cmentarz Neptuna (USA). Kilkaście tysięcy dolarów może kosztować pochowanie osoby bliskiej na Cmentarzu Neptuna. Nietypowa, podwodna nekropolia powstała w 2008 roku w pobliżu Miami. Cmentarz zbudowano na sztucznej rafie. Skremowane prochy zmarłego są mieszane ze specjalną substancją, z której formuje się np. kształt muszli, ryby czy anioła, a następnie „rzeźba” umieszczana jest na rafie.

7. Kondukt żałobny w Chinach jest... biały. Żałobnicy ubrani są w tym kolorze. Idąc za trumną ze zmarłym, sypią białe i żółte kółeczka z dziurką, które wirują w powietrzu. Na miejscu pochówku składa się głębokie pokłony zmarłej osobie i wręcza koperty z pieniędzmi owdowiałej rodzinie.

8. Na Madagaskarze co roku we wrześniu lub październiku rozkopuje się groby. Zwyczaj ten nosi nazwę Famadihana. Mieszkańcy wyspy wierzą, że po śmierci dusze zmarłych opuszczają ciała i zamieszkują w kamieniach lub drzewach, a do grobu wracają czasem, by odpocząć. Lubią wtedy, gdy jest tam czysto, więc mieszkańcy Madagaskaru rozkopują mogiły bliskich i czyszczą ich kości. Następnie podlewają je alkoholem, który sami też spożywają. Czyste kości zawijane są białe całuny i podpisywane.

9. Indonezyjska wyspa Sulawesi. Oczekiwanie na pogrzeb osoby zmarłej na tej wyspie może trwać nawet latami. Najbiedniejszych nie stać na taki „luksus”, ponieważ tradycja nakazuje, by w czasie uroczystości zabić co najmniej jednego bawoła. Dlatego na czas zbierania pieniędzy na zakup zwierzaka, zmarła osoba „zamieszkuje” w domu bliskich w specjalnym pokoju. Zmarłych chowa się w specjalnych otworach w skałach.

10. Indianie jednego z plemion dorzecza Amazonki po prostu zjadają nieboszczyka w 2–3 dni po śmierci, pijąc przy tym ogromne ilości alkoholu.

Cieszymy się więc z naszych tradycyjnych zwyczajów, bo przynajmniej nie będziemy po śmierci zjedzeni! Tym optymistycznym akcentem kończę i Pozdrawiam,

Janusz Szulc

Dzień Talentów pełen... talentów!

Publiczność i jury byli zgodni – dwie najważniejsze nagrody tegorocznego przeglądu świdnickich talentów zdobył jeden zespół. Mażoretki – eksportowy hit Świdnicy!

21 marca 2016 r. czyli w pierwszym dniu kalendarzowej wiosny, tradycją szkolną są wagary. Dziwi jednak opustoszały Młodzieżowy Dom Kultury w Świdnicy. Wagary miłośników tańca, śpiewu, plastyki, modelarstwa, fotografii itp...? Nic bardziej błędnego. Uczestnicy zajęć MDK wraz ze swoimi rodzicami spędzili wiosenne wagary w sali teatralnej Świdnickiego Ośrodka Kultury, gdzie odbyła się kolejna edycja „Dnia Talentów”. Ideą imprezy organizowanej od pięciu lat przez szkoły i placówki posiadające ogólnopolski certyfikat „Odkrywania Talentów” jest propagowanie pasji i osiągnięć wśród dzieci i młodzieży promowanie ich na arenie zewnętrznej poprzez eta-



Natalia Józefiak z trofeum turystycznym, poroże znalezione pod Smrkiem, na trasie Rajdu „Putovani Jizerkami” 25.04.2015



Natalia Józefiak w trakcie prezentacji „Moja Korona Sudetów” w trakcie Dnia Talentów w MDK w dniu 21.03.2016 r.

py regionalne i ogólnopolskie tej imprezy. Jury złożone ze świdnickich notabli i VIP-ów w swoich wyborach było zbieżne z odczuciami widowni. Przyznano siedem wyróżnień głównych i nagrodę Grand Prix. Jedno z nich trafiło do reprezentantki Koła Turystycznego PTTK „ToTuToTam” – Natalii Józefiak.

Natalia w asyście swoich kolegów i koleżanek z Koła zaprezentowała swoje umiejętności w opowiadaniu „Moja Korona Sudetów”. W swoim wystąpieniu autorka przybliżyła atrakcje turystyczne i przyrodnicze najwyższych szczytów sudeckich. Zdobyć wszystkich szczytów w tej grupie górskiej uważane jest za szczególne wyróżnienie i szczególny prestiż w gronie turystycznym.



Natalka Józefiak odbiera uroczystie Regionalną Odznakę Krajoznawczą w st. srebrnym z rąk Stanisława Łucia Przewodniczącego Komisji Turystyki Pieszej ZG PTTK na Dolnośląskiej Naradzie Piechurów na Zamku Książ 31.01.2016 r.

ją wiedzą o Kraju Ojczystym bryluje wśród rówieśników, co znalazło odbicie w zdobyciu turystycznych i krajoznawczych odznak: małej srebrnej GOT, małej brązowej OTP, małej brązowej odznaki Turysta Przyrodnik, brązowej Regionalnej Odznaki Krajoznawczej i kilkunastu innych tematycznych. Natalka chętnie dzieli się swoją wiedzą z innymi – prezentowała swoje osiągnięcia w ramach Dni Gór w Świdnicy w 2014 r. oraz w trakcie eliminacji powiatowych XLIII OMTTK. Współtwórczyni osiągnięć Koła w trakcie Wiosennej Narady Piechurów w Świdnicy w 2015 r. Lubiana wśród rówieśników pełni funkcję zastępcy prezesa Koła. Do wielu osiągnięć naszej bohaterki zaliczyć można: zdobycie tytułu „Blacharz Roku” w roku szkolnym 2014/15 (18 odznak turystycznych i krajoznawczych), zdobywczyni III miejsca w Mistrzostwach Koła w wspinaczce skałkowej w 2016 r. Uczestniczka XI Międzynarodowego Rajdu „Łużyckie Wędrówki” w 2015 r. w Czechach i Niemczech. Wraz z kołem zdobywczyni II miejsca w Turnieju Rekreacyjnym Kół PTTK na Ślęży w 2014 r. Wyróżniona przez Komandora Rajdu „6 X Dolny Śląsk” w trakcie Wiosennej Narady Piechurów w Wałbrzychu w 2016 r. uf!!! A przecież Natalia jest na początku turystycznej przygody, o czym zapewnia opiekun Koła „ToTuToTam”



Koło PTTK „ToTuToTam” na starcie Rajdu „W poszukiwaniu kwiatu paproci” w drodze na Czupel (Beskid Mały) 20.06.2015

Nasz turystyczny, dwunastoletni TALENT posiada wiele pasji, z których na pierwszy plan wybiła się działalność w Związku Harcerstwa Polskiego i Polskim Towarzystwie Turystyczno-Krajoznawczym. Swoje zainteresowania turystyką i krajoznawstwem realizuje na zajęciach i wycieczkach Koła „ToTuToTam”. Spośród wszystkich uczestników koła pochwalić się może zdobyciem Korony Gór Polski oraz Korony Ziemi Kłodzkiej i Korony Sudetów. Swo-

ją wiedzą o Kraju Ojczystym bryluje wśród rówieśników, co znalazło odbicie w zdobyciu turystycznych i krajoznawczych odznak: małej srebrnej GOT, małej brązowej OTP, małej brązowej odznaki Turysta Przyrodnik, brązowej Regionalnej Odznaki Krajoznawczej i kilkunastu innych tematycznych. Natalka chętnie dzieli się swoją wiedzą z innymi – prezentowała swoje osiągnięcia w ramach Dni Gór w Świdnicy w 2014 r. oraz w trakcie eliminacji powiatowych XLIII OMTTK. Współtwórczyni osiągnięć Koła w trakcie Wiosennej Narady Piechurów w Świdnicy w 2015 r. Lubiana wśród rówieśników pełni funkcję zastępcy prezesa Koła. Do wielu osiągnięć naszej bohaterki zaliczyć można: zdobycie tytułu „Blacharz Roku” w roku szkolnym 2014/15 (18 odznak turystycznych i krajoznawczych), zdobywczyni III miejsca w Mistrzostwach Koła w wspinaczce skałkowej w 2016 r. Uczestniczka XI Międzynarodowego Rajdu „Łużyckie Wędrówki” w 2015 r. w Czechach i Niemczech. Wraz z kołem zdobywczyni II miejsca w Turnieju Rekreacyjnym Kół PTTK na Ślęży w 2014 r. Wyróżniona przez Komandora Rajdu „6 X Dolny Śląsk” w trakcie Wiosennej Narady Piechurów w Wałbrzychu w 2016 r. uf!!! A przecież Natalia jest na początku turystycznej przygody, o czym zapewnia opiekun Koła „ToTuToTam”

Zbigniew Curyl

Kamienne kręgi – wspomnienia z wyprawy

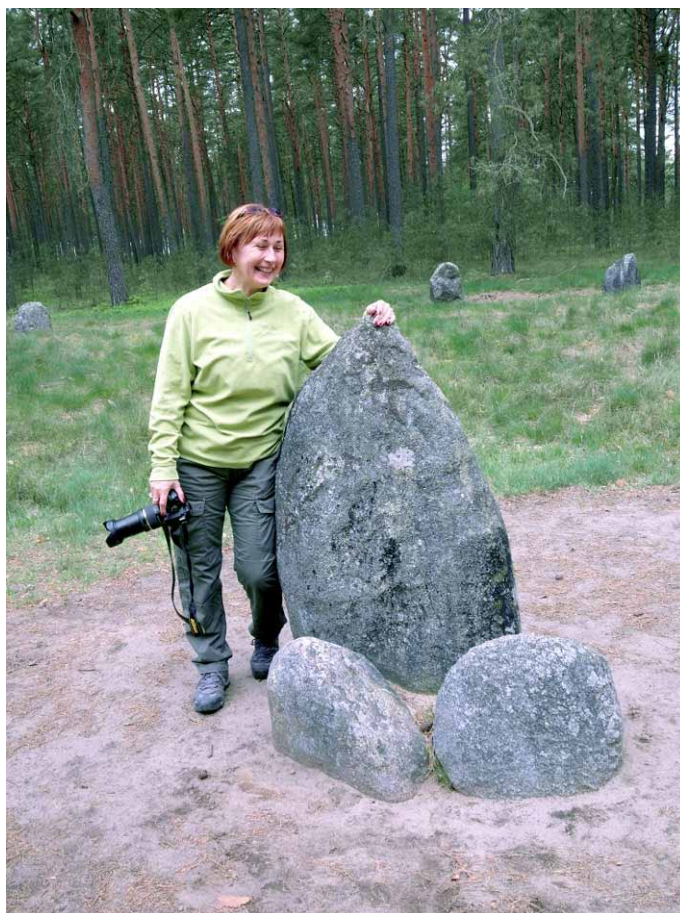
Trasa: Borsk – Górki (jaz na Kanale Wdy) – Żebrowo – Bąk – Miedzno – Odry – zwiedzanie Rezerwatu Kamienne Kręgi, 13 km. Uczestnicy: Małgosia, Krzychu, Basia, Zdzichu, Marysia, Wojtek. Ognisko na zakończenie w Miedznie.

Wojtek wytyczył kierunek w Bory Tucholskie. Spotkaliśmy się w rezerwacie „Kamienne Kręgi” w Odrach. Miejscowy gospodarz sprzedał nam bilety i opowiedział wszystko co wiedział o tym tajemniczym miejscu. Kręgi mają około 1900-2000 lat, ale tak do końca nic nie można powiedzieć pewnego. Jest ich 12 i wraz z kurhanami stanowią miejsce dawnych pochówków. Mimo iż byliśmy na pradawnym cmentarzu, humory nam dopisywały. A wszystko z powodu tajemniczej energii, która według informacji na planszach, jest tu bardzo wysoka i silnie działa na zwiedzających. Nie podano jednak nazwy tego promieniowania, a o jednostkach w której ją pomierzono, nikt nie słyszał! Podziało to na „Kornuty” bardzo silnie. Zdzisiu wpadł w upojenie, a Basia zaczęły trząść się nogi. Reszta „odleciała” gdzieś w zaświaty pokładając się ze śmiechu i radości. Przy kręgu nr 5 cała szóstka oczekiwała zapowiedzianej przez biletera eskalacji emocji i napięcia. Objawiła się ona u Wojtka złamaniem zasady porządku, czego nigdy nie robił będąc przy zdrowych zmysłach. Tutaj wtargnął do środka zaczarowanego kręgu i bezczelnie zbeczczył stary kamlot starając się wzbić w przestworza. Nic z tego. Nadal tkwił na ziemi. Basia poszła za nim jak w dym i też pokalała świętość miejsca obtańcowywując kamień kilka razy dookoła. Reszta przywoływała ich do porządku starając się usilnie o powagę i szacunek dla starych prochów.

Z rezerwatu pojechaliśmy do Borska, a stamtąd ruszyliśmy pieszo na południe najpierw wzdłuż kanału Wdy. Uroki tych miejsc znaleźliśmy wszyscy od dawna ze spływów kajakowych. Wędrówka daje jednak inne spojrzenie, bo horyzont jest na innej wysokości. Początkowo majowy deszczyk próbował zepsuć nam humory, ale mu się nie udało. Każdy miał na niego inny sposób. Wojtek jak zawsze był zaopatrzony w parasol, który wywoływał salwy śmiechu u Marysi – no, bo czy prawdziwy turysta nasi go ze sobą? Krzysiu potraktował to kapanie z nieba jako poranny prysznic i nie



Kamienne Kręgi w Odrach



Basia K. przy Kamiennych Kręgach

zabezpieczał się wcale. Reszta przy pomocy kurtek z kapturami chroniła swe ondulacje na wieczorną imprezę. W miejscowości Górki znajduje się jaz, który oddziela kanał od rzeki Wdy. Odtąd mieliśmy prościutki kanał po lewej stronie, a meandrującą zawzięcie rzekę po prawej. Jedno i drugie wyglądało pięknie. Szybko doszliśmy do Bąka, gdzie Krzysiu i Wojtek spędzali w dzieciństwie wakacje. Ulubionym ich zajęciem był spływ starym, gumowym pontonem po spokojnych i płytkich wodach kanału. Aż wszystkich kusilo, by zrobić sobie powtórkę z takich atrakcji. Marysia zaś namawiała stale Zdzisia, by wędrówkę pieszą zamienić na relaksującą kąpiel i dać się ponieść leniwemu prądowi zimnej jednak wody. Zdzisiu postanowił sprawę przemyśleć i zanim słońce zaszło pluskał się ochoczo we Wdzie. Ale nie uprzedzajmy faktów.

Z Bąka droga wiodła do Odr. Przeszliśmy tym razem tylko 12 kilometrów. Kamiennie Kręgi zamiast zaopatrzyć nas w energię, wyssały nam chyba siły. Odzyskaliliśmy je dopiero na polu biwakowym w Miedznie, gdzie rozpaliliśmy ognisko i przyrządziliśmy obiado-kolację. Apetyty dopi-



Wpływ promieniowania w Kamiennych Kręgach na naszą grupę



5 – Kanał Wdy w Bąku

sywały toteż na kijach lub stalowych drutach znalazły się kilogramy kielbasy, szaszłyki i jeden kurczak Basi w całości. Krzysiu zaskoczył nas sosem tatarskim i wódeczką. Wojtek wołał piwo, ale potem opijał także brata. Potem nastąpiło ogniskowe śpiewanie, którego siła była wprost proporcjonalna do ilości wypitego alkoholu. Repertuar też miał związek

Miedzno – garnuszki



Miedzno – kapliczka



z procentami. Wojtek w pewnym momencie poczuł siłę przewodzenia narodem i poprowadził „pieśń konszbelantów”. No i było: „cimci rymci dała bym ci, ale ci nie dam”. Fragment o fujarze połączony z bardzo ożywioną gestykulacją obłożony został cenzurą, ale i tak przejdzie we wspomnieniach do historii naszych wypraw. Było nam wszystkim tak dobrze nad Wdą, że nawet Małgosia nie poganiała nas do powrotu. W żarze ogniska dopiekły się kartofle i uczta trwała nadal. Kolejny raz pożeraczem pieczonych ziemniaków został bezapelacyjnie Wojtek. Ten facet mógłby zjadać tego tony codziennie. Kiedy nad rzeką kładły się już ostatnie promienie zachodzącego słońca, ognisko trzeba było zagasić. Zapragnęliśmy wtedy jeszcze zrobić powtórkę z takich spotkań.

Maria Chróścicka

Ognisko w Miedznie

XII Dzień Otwarty Domów Przysłupowych

W ostatnią niedzielę maja, już po raz dwunasty, odbędzie się Dzień Otwarty Domów Przysłupowych. W tym roku pod hasłem „Tkactwo w domu przysłupowym”. Na pograniczu Niemiec, Czech i Polski 29 maja między godziną 10:00 a 17:00 zostanie udostępnionych łącznie 132 domów w typowym dla Górnych Łużyc stylu przysłupowym. Wśród nich 35 domów będzie czekało na gości w polskiej części regionu. Impreza otwarcia rozpocznie się o godzinie 10:00 w miejscowości Großschönau, słynącej z tradycji włókienniczej.

Domy przysłupowe (przysłupowo-zrębowe) są budowlami charakterystycznymi dla śląsko-czesko-saksońskiego pogranicza. Powstawały one na obszarach wiejskich prawdopodobnie już na przełomie XIV i XV wieku, a w kolejnych stuleciach były doskonalone. Ten rodzaj budownictwa „wynaleźli” prości, wiejscy rzemieślnicy poprzez kombinację konstrukcji zrębowej, szachulcowej i murowanej. Tym, co odróżnia je od innych rozwiązań stosowanych w budownictwie wiejskim jest przysłup. Ta drewniana konstrukcja z charakterystycznymi łukami otacza izbę zrębową i podtrzymuje górną kondygnację lub dach.

Warto na marginesie zaznaczyć, że typowy dom przysłupowy składa się z dwóch części: dolnej (wspomnianej powyżej) – zbudowanej z drewna izby zrębowej (poziomo układane ociosane

belki łączy się na rogach budynku „na zrąb”) oraz nadbudowanej konstrukcji szachulcowej, która opiera się na zewnętrznych, drewnianych słupach, zwanych przysłupami. W konstrukcji spotykają się dwie tradycje budowlane: typowe dla Europy Środkowo-Wschodniej budownictwo drewniane, oraz rozprzestrzeniona na obszarze języka i kultury niemieckiej – konstrukcja szachulcowa (konstrukcja drewniana wypełniona materiałami naturalnymi tj. drewno, glina, słoma, kamienie).

Górne Łużyce na płaszczyźnie budowlanej okazują się być przestrzenią styku kultury słowiańskiej (czeskiej, serbołużycyjskiej i polskiej) oraz niemieckiej. Do dnia dzisiejszego zachowało się około 19 tysięcy domów przysłupowo-zrębowych, z czego po stronie polskiej – głównie w rejonie Bogatyni, Zawidowa i Leśnej – około 500.

Na terenie dzisiejszych Niemiec domy przysłupowe znajdziemy we wschodniej części Szwajcarii Saksońskiej, powiecie Löbau-Zittau i południowej części powiatu Budziszyn; w Czechach: w Kraju Liberec, Kraju Ústí nad Labem, w naszym kraju: w powiecie lubańskim i południowej części powiatu zgorzeleckiego.

Dni Otwarte Domów Przysłupowych organizowane są od roku 2005 w ramach przedsięwzięcia Kraina Domów Przysłupowych (Umgebindeland), mającego swoje początki w 2003 r. Od tamtego czasu realizowane są projekty, które prowadzą do utrwalenia architektury przysłupowej jako elementu charakterystycznego dla regionu oraz atrakcji turystycznej Górnych Łużyc oraz Pogórza Izerskiego. Wśród nich znalazły się m.in.: stworzenie „Grupy fachowej Dom Przysłupowy”, wypracowanie marki turystycznej „Urlop w domu przysłupowym”, stworzenie turystycznego „Szlaku żyjącego rzemiosła” (www.handwerk-erleben.com), czy inicjatywy marketingowej „Miłość od drugiego wejrzenia” (Liebe auf den zweiten Blick), mającej na celu znalezienie nowych właścicieli dla opuszczonych i zaniedbanych domów przysłupowych.

Organizowany Dzień Otwarty Domów Przysłupowych ma pokazać mieszkańcom regionu wyjątkowe piękno tej regionalnej architektury i zachęcić do dbania o te niezwykle „architektoniczne perełki”, niespotykane nigdzie indziej w Europie.

Lista otwartych domów: www.stiftung-umgebindehaus.de. Stąd też foto.

Anna Zygmata



**Oferta wydawnictw
turystyczno-krajoznawczych
wydanych przez
Oddział Wrocławski PTTK**

Chcieli założyć koło PTTK. Mogą utworzyć oddział...

Trzech amatorów pieszych wędrówek postanowiło w końcu zrealizować swój plan. W 23 tysięcznych Świebodzicach założyli pierwsze w historii miasta (według miejskich kronikarzy) koło PTTK. Andrzej, Jarek i Maciek znają się od lat. Razem wędrują, pokazują dzieciom i wnukom okolicę. Motywują się nawzajem do zbierania kolejnych pieczętek i odznak.

Pomysł zrodził się kilka lat temu, jednak zawsze było jakieś „ale” – praca, brak czasu, wyjazd, choroba. Aż do marca, kiedy zapadła decyzja: „Idziemy do Miejskiego Domu Kultury i Wydziału Promocji miasta. Jeśli nam pomogą – zaczynamy!” Szefowe tych instytucji z wielkim entuzjazmem przyjęły pomysł i koło „Świebodzickich Łazików” ruszyło.

Jak w erze Facebooka, Instagrama czy Twittera namówić ludzi do przyłączenia się do realnej społeczności? Nikt z nich nie korzystał z tych mediów. Jedyne co mieli, to spore doświadczenie w organizacji wycieczek oraz wiedza z zakresu marketingu. Posłużyli się zatem rozszerzoną kompozycją marketingową.

Przede wszystkim musieli „kupującym” – czyli przyszłym członkom koła – jasno sprecyzować „produkt”. Postanowili skorzystać z doświadczeń tych, którzy prowadzą koła i oddziały od lat. Bardzo pomocny okazał się Zbyszek Curył z Oddziału w Świdnicy i Radek Tokarz z Wrocławia. Postanowiono zaproponować członkom koła w Świebodzicach kompleksową organizację wycieczek, od wymyślenia celu wycieczki, przez logistykę, po wskazanie atrakcji czekających na turystów. Niby nic odkrywczego, ale pamiętajmy, że nikt przed nimi wcześniej nie oferował mieszkańcom miasta takich wycieczek. Żeby produkt okazał się interesujący, musieli go odpowiednio urozmaicić. Postanowili pokazać, że zwiedzanie i poznawanie kraju to nie tylko górskie wycieczki po szlakach, ale również turystyka kajakowa, rowerowa i narciarska.

Kiedy wiedzieli, co chcą „sprzedać”, musieli określić grupę docelową, do której chcą trafić. Miały to być osoby prowadzące aktywny tryb życia, uprawiające już niegdyś turystykę. Panowie postanowili zainteresować swoim pomysłem szczególnie rodziny z dziećmi, wierząc, że kiedyś młodzi ludzie dalej będą rozwijać tę pasję i przekazywać ją następnym pokoleniom.

Jedyną wirtualną społecznością, do której należą wszyscy założyciele, to użytkownicy aplikacji www.endomondo.com. Nie mieli kont na „Fejsie” i innych portalach społecznościowych. Pozostało więc Endomondo, strona internetowa miasta i MDK. To tymi kanałami przekazano informacje o całym pomysłem. Opatrzono je w logo PTTK – jednym z najlepiej rozpoznawalnych znaków firmowych wśród grupy wiekowej 40+.

Spotkanie inauguracyjne odbyło się 1 kwietnia 2016 roku w Miejskim Domu Kultury. Pytań o to, czy to nie żart pimaaprilisowy, było mnóstwo – cel zatem został osiągnięty – wzbudzone zainteresowanie świebodziczian. Pierwsza informacja na stronie miasta pojawiła się pod koniec lutego, a kilka dni przed spotkaniem administrator strony przeniósł informację do góry i przypomniał o spotkaniu.

Ludzie, to oni dostarczają usługę. Panowie musieli pokazać, że nie są laikami. Pomocne okazały się ich archiwa zdjęciowe oraz odznaki turystyczne Andrzeja, a ma ich mnóstwo. Do tego książeczki z pieczętkami, które były materialnym dowodem na to, że nie uprawiali turystyki samolotowo – hotelowo – barowej.

Na spotkanie przyszli z gotową propozycją nazwy, logo oraz siedziby – *physical evidence* (świadek materialny). Chcieli uniknąć sytuacji, w której trzeba wymyślić te trzy ważne elementy na zebraniu członków. Wszak wiadomo, że jeśli na zebraniu będzie 10 członków, to będą mieli 20 różnych poglądów. Chcieli uniknąć niepotrzebnej dyskusji. Warto było. Nazwa i logo (stworzone przez Maćka) spodobały się wszystkim. Uzgodniona siedziba w MDK podniosła prestiż koła.

Musieli jeszcze tylko zastanowić się nad analizą słabych i mocnych stron propozycji, a także szans i zagrożeń. Za słabą stronę uznali formalności związane z przystąpieniem do PTTK. Aby zostać członkiem społeczności PTTK należy: wypełnić deklarację, dostarczyć 2 zdjęcia, zapłacić wpisowe



i składkę członkowską. W przypadku czteroosobowej rodziny koszty mogłyby wynieść aż 240 zł. Dla porównania, aby dołączyć do Facebooka, Endomondo czy innych wirtualnych społeczności, wystarczy podać adres e-mail i wybrać jedno z tysiąca zdjęć z pamięci telefonu – koszt: 0 zł.



Kolejna słaba strona całego przedsięwzięcia to brak elektronicznej wersji książeczek. Jak przekonać młode pokolenie do zbierania punktów, pieczętek w książeczkach czy odznak? Oni najchętniej zbierają „lajki” w internecie – taka jest smutna rzeczywistość, której trudno zaprzeczyć.

Aby nie zniechęcić zainteresowanych całą papierologią, założyciele grupy postanowili wyjść na przeciw oczekiwaniom. Bezpośrednio na spotkaniu można było wypełnić przygotowane deklaracje. Córci Maćka i Jarka robiły smartfonami zdjęcia do legitymacji, które później były wywołane w jednej z sieciowych drogerii. Koszt jednego zdjęcia spadł do 10 groszy. Na miejscu można było zapłacić gotówką wpisowe i składkę. Z tego rozwiązania skorzystało kilkanaście osób.

Mocna strona członkostwa w PTTK to przede wszystkim polisa NNW. Tę zaletę organizatorzy starali się zaakcentować kilkakrotnie, podkreślając, że polisa działa również w czasie indywidualnego uprawiania turystyki, czyli codziennie.

Szansą na zmniejszenie kosztów okazała się także decyzja ZG PTTK o składce rodzinnej. Dzięki niej udało się przekonać do członkostwa sześć czteroosobowych rodzin – czyli 24 nowych członków koła! Oczywiście zaletą stał się fakt, że składki za dwie dorosłe osoby to tyle samo, co składka rodzinna, a ubezpieczeniem objęte są również dzieci.

Jaki były efekt tych wszystkich przygotowań? Przerósł oczekiwania organizatorów. W sali MDK dnia 1 kwietnia przygotowano na godz. 18.00 około 80 miejsc siedzących. O 18.10 zabrakło krzeseł. Spotkanie poprzedzone było wystawą fotografii plenerowej. Organizatorzy skorzystali z rzutnika i ekranu. Na drewnianych sztalugach stały ramki z odznakami turystycznymi Andrzeja. Program obejmował: prezentację zdjęć z wycieczek organizowanych przez założycieli, rys historyczny PTTK, omówienie idei zbierania odznak oraz planu wycieczek na 2016 rok. Zajęło to około 60 minut. Potem odpowiadano na pytania, zebrano pierwsze deklaracje, dziewczyny robiły zdjęcia. Spotkanie zakończyło się około 20.00.

Tydzień po spotkaniu pierwsi członkowie koła wybrali się na spontaniczną wycieczkę do Andrzejówki i okolic, dwa tygodnie później w Rudawy Janowickie. W międzyczasie powstał fanpejdż na Facebooku, gdzie pojawiły się pierwsze fotorelacje. Siła przekazu w Internecie zwyciężyła – „Świebodzickie Łaziki” jednak zostały użytkownikami Facebooka.

Deklaracje, zdjęcia i wpłaty szybko zaczęły spływać do skrzynki kontaktowej w siedzibie koła. Po 23 dniach liczba członków wzrosła do 56 osób i ciągle rośnie! Ogromne zainteresowanie turystyką sprawia, że w Świebodzicach może powstać nawet oddział PTTK.

23 kwietnia nadszedł czas pierwszej oficjalnej wycieczki – cel główny, to integracja i poznanie własnych możliwości. Na zbiórce stawiło się 55 osób. Grupa ruszyła do Jeziora Daisy w Książańskim Parku Krajobrazowym, potem do Zamku Książ i Doliny Różaneczników, gdzie wędrówkę zakończono ogniskiem. Uroczyście wręczono legitymacje i zdobyte wcześniej odznaki PTTK. Przy okazji do koła dołączyło 14 osób.

Czy to, co Andrzej, Jarek i Maciek zrobili dla swojej społeczności, można uznać za sukces? Oni sami skromnie twierdzą, że jeszcze nie. Sukces osiągną, gdy na pierwszej, piątej czy dziesiątej rocznicy powstania koła pojawi się co najmniej tyle samo amatorów turystyki, ile było podczas inauguracji.

www.facebook.com/pttk.swiebodzice/

www.mdk.swiebodzice.pl/strony/pttk_info.htm

Jan Wędrownik

Ogólnopolskie Forum Przewodników Turystycznych PTTK

W połowie lutego br. ponad 200 przewodników z całej Polski spotkało się na trzydniowym Forum w nowoczesnym Europejskim Centrum Edukacji Geologicznej w Chęcinach-Rzepce. Zjechali przewodnicy od Szczecina i Gdańska, po Wrocław i Lublin. Nie zabrakło przedstawicieli z Warszawy, ale i małych Pszczółek na Żuławach. Organizatorem Forum był Samorząd Przewodnicki Województwa Świętokrzyskiego, stąd był to jednocześnie już XLV Ogólnopolski Zjazd Przewodników Świętokrzyskich.

Te od wielu lat organizowane spotkania mają na celu umożliwienie gościom z całego kraju poznanie zakątków Ziemi Kieleckiej. Przykładowo: dwa lata temu poznawano Małogoszcz – miejsce bitwy powstania styczniowego, a w roku ubiegłym Łysogóry. Przewodnicy spotykają się dla wymiany poglądów na temat przewodnictwa, nawiązują się nowe koleżeńskie więzi i przyjaźnie. Nie bez znaczenia są też wieczorne spotkania z gitarą i piosenką, czy wieczorki towarzyskie (by nie nazywać ich szumnie balami przewodnickimi). „Jadła” na nich jest zawsze pod dostatkiem, a i muzyka brzmi żwawo.

Gdy wspominamy Ziemię Kielecką, czy Góry Świętokrzyskie to najczęściej wśród jej atrakcji mamy na myśli: Święty Krzyż, Jaskinię Raj, Obłęgorek, miejsca związane z Żeromskim, ewentualnie – zwłaszcza ze względu na popularny serial TV – Ojca Mateusza – Sandomierz. Tymczasem na naszych oczach, u stóp zamku chęcińskiego, wyrósł wspaniały, naprawdę supernowoczesny obiekt dydaktyczny Uniwersytetu Warszawskiego – Europejskie Centrum Edukacji Geologicznej.

Wybranie przez organizatorów miejsce ogólnopolskiego spotkania przewodników PTTK – ECEU, okazało się fantastycznym pomysłem. Wybudowano je na terenie byłego kamieniołomu na Górze Rzepka. Centrum składa się z kompleksu pięciu obiektów otoczonych z trzech stron ścianami wapieni i dolomitów (jako ciekawostkę trzeba podać fakt, że ten duży obiekt mający powierzchnię 6 500 m², w 90% zasilany jest odnawialnymi źródłami energii: tj. ciepła Ziemi i energii słonecznej). Obiekt posiada 170 miejsc hotelowych, w nowoczesnie wyposażonych, dwuosobowych pokojach. Z okien pokoi roztacza się piękny widok na pasmo wzgórz zwanych Grzywami Korzeczkowskimi. W budynku głównym znajduje się sala konferencyjna na 240 miejsc. Jej ściany stanowią naturalne fragmenty skał dewońskich. Ponadto jest szereg mniejszych sal konferencyjnych, ćwiczeniowych i wyposażonych w nowoczesną aparaturę laboratoriów.

W ciągu dwóch dni trwania forum wygłoszono szereg ciekawych referatów. Przypomniano wielkiego polskiego geologa prof. Jana Samsonowicza oraz postać przewodnika-przyrodnika Edmunda Massalskiego. Ciekawy wykład pt. *Górnictwo kruszcowe i minerały Gór Świętokrzyskich* wygłosił dr Rafał Siuda z Uniwersytetu Warszawskiego. Zaś inny naukowiec tej uczelni, dr hab. Grzegorz Barczyk, zaprezentował ciekawą prezentację pt. *Jaskinie tatrzańskie jako obiekty turystyczne*.

Bardzo udanym pomysłem i wielkim „novum” na spotkaniach przewodnickich były geologiczne zajęcia warsztatowe. Przypominały bowiem ćwiczenia z czasów studenckich. Niezwykle ambitne i naładowane wiedzą teoretyczną, młode doktorantki Instytutu Geologicznego Warszawskiego Uniwersytetu prowadziły zajęcia z rozpoznawania skał i minerałów oraz czytania map geologicznych. Zapoznano też uczestników zajęć z nowymi technologiami w obrazowaniu powierzchni Ziemi. Nic dziwnego, że nawet autor tego tekstu, geograf z wykształcenia, który przecież w czasie studiów miał takie zajęcia seminaryjne stwierdził: *Na tych zajęciach nauczyłem się więcej niż w czasie całego roku zajęć ćwiczeniowych z geologii na Uniwersytecie Wrocławskim!!!*



Chęciński zamek. Fot. Piotr Dacko

Największą atrakcją spotkania przewodników był wieczorny spacer na zamek w Chęcinach i jego iluminacja. A zamek ów to zamek królewski. Jego początki sięgają czasów Wacława II Czeskiego. Przez pewien czas był też własnością biskupa wrocławskiego Jana Muskaty. Tu zdeponowano w 1318 r. skarbiec Archidiecezji Gnieźnieńskiej, by go chronić przed Zakonem Krzyżackim. Tu gromadziło się rycerstwo polskie przed wyruszeniem w 1331 r. pod Płowce, gdzie miała miejsce słynna bitwa z Zakonem Krzyżackim. Zamek rozbudował Kazimierz Wielki. Warownia była również wykorzystywana jako więzienie. Wśród skazanych przebywał tu min. Michael Kuchmester von Sternberg, przyszedł Wielki Mistrz Krzyżacki. Przewodnicy dolnośląscy opowiadają, że na tym zamku więziony był Piast „z ich terenu”. Był to książę oleśnicki Konrad VII Biały. Dostał się do niewoli w czasie bitwy pod Grunwaldem, gdzie walczył po stronie Krzyżaków. Do niewoli wziął go czeski rycerz Jost z Salen. Więziony był do 8.06.1411, gdy z niewoli wykupił go brat za sumę 100 tys. kop groszy praskich.

Tylko, że wyprawa przewodników na zamek zakończyła się nieszczęśliwie. Zdradliwie upadł na oblodzonym terenie Grzesiu z Gdańska i potem utykał i bolał go kręgosłup.

No a wieczorny bal. Jakiś taki senny. Jadła oczywiście w nadmiarze. Stoły uginały się od kielbas, szynek, sałatek... Ale atmosfera jakaś nie taka. Brakowało Sandomierza, tego „motoru” zabaw i rozrywek, nie mówiąc o popisach chóralnych i indywidualnych. Tak jak bywało w poprzednich latach. A i ferajna „gdańska” jakaś ospała. Może brakowało pełnego składu, tych podpór z Legnicy, Wrocławia, Łowicza, Wałbrzycha. Dobrze, że maleńka Pszczółka, z młodzieżą przewodnicką, podtrzymywała tradycje dobrej zabawy.

By skończyć z „żalami”, jeszcze jedna sprawa. Jakoś wielu z nas brakowało mocniejszego wystąpienia Ani Sierpińskiej. Bądź, co bądź, to przecież i przewodnicząca Komisji Przewodnickiej ZG PTTK i przewodnicząca Samorządu Przewodnickiego. Krótkie, zdawkowe pozdrowienie uczestników Forum to za mało. Przecież Aniu obradowaliście pół dnia. Coś tam ustalaliście, uchwalaliście, a i brać przewodnicka oczekiwała informacji, co tam „na górze” w sprawach przewodnickich się dzieje. Tego zabrakło!

O znaczeniu spotkania przewodników dla miejscowego środowiska świadczyła obecność na forum wielu przedstawicieli świata nauki i Parków Narodowych: Świętokrzyskiego i Ojcowskiego, dyrektorów muzeów, prezydentów miast, wójtów gmin, proboszcza, dyrektorów wielu instytucji czy nawet przedstawicieli PKS. Na czele całego „prezydium” Zjazdu stał wieloletni przyjaciel środowiska przewodnickiego – Jacek Kowalczyk – Dyrektor Departamentu Edukacji, Sportu i Turystyki Urzędu Marszałkowskiego w Kielcach. Wymieniono naukowców, bo ECEG jest zamiejscowa placówką Instytutu Geologii Uniwersytetu Warszawskiego, a na Forum reprezentował ten Instytut prof. dr hab. Stanisław Skompski, który wygłosił ciekawy wykład pt. *Góry Świętokrzyskie oczami geologa*, oraz osobiście prowadził terenowe warsztaty praktyczne po kamieniołomach: Mogiłka i Zachełmie.

Całość zlotu programowo przygotował „baca wszystkich baców” – Kaziu Miciorek. Tak baca, bo może to nie wysokie, ale przecież Góry Świętokrzyskie. A organizacyjnie w sprawnym przeprowadzaniu zlotu pomagali mu „juhasi” koledzy Kamiński i Pawlik. Dziękujemy.

A kto dawno nie był w Chęcinach niech rychło się tam wybierze. Jest co zwiedzać. Nie tylko zamek, ale i dwa wspaniałe rynki: górny i dolny. Przy tym górnym znajduje się wspaniała renesansowa kamieniczka „Niemczówka”. W pobliżu znajduje się ratusz, kościół parafialny pw. Św. Bartłomieja z późnorenesansowymi stallami i wczesnobarokowym ołtarzem, zespół klasztorny sióstr bernardynek, budynek dawnej synagogi. W pobliżu Chęcin usytuowany jest Dwór Starostów z XVII w. Po remoncie obecnie ten dwór jest siedzibą Regionalnego Centrum Naukowo-Technicznego z Centrum Nauki Leonardo da Vinci. Jest to drugi co do wielkości, po Centrum Nauki Kopernik, obiekt popularyzujący nowoczesną naukę. Ale atrakcje turystyczne to nie tylko same Chęciny. W pobliżu znajdują się przecież: Jaskinia „Raj” i „Piekło”, skansen w Tokarni, czy Gród Pędzików. Atrakcji starczy na kilka dni.

Świętokrzyski „baca – Kaziu” umówił się już z przewodnikami z całej Polski, na kolejne spotkanie w 2017 roku. Tym razem będzie to Ponidzie.

Do zobaczenia!!! Oby przyjechało na nie jak najwięcej tych co byli w tym roku, ale i gości z poprzednich lat. I tych co jeszcze nigdy nie byli na Ogólnopolskich Zjazdach Przewodników Świętokrzyskich. Tym razem już na XLVI Zjeździe.

Stanisław Dziuba

Jezioro Tarnobrzesckie – polski cud ekologii, inżynierii, rekreacji i architektury krajobrazu

Andrzej (60 lat) zatrzymuje łódkę na jeziorze, dokładnie w miejscu gdzie mieszkał, wychowywał się, potem wydobywał siarkę a teraz żegluje. Niedługo zjedzie najdłuższą w Polsce tyrolką a może i wykąpie się w wodach siarczkowych. Oprowadza turystów i opowiada niezwykłą historię tej zupełnie nowej krainy.

Nikt na świecie wcześniej tego nie dokonał. Zabezpieczenie wyrobiska po kopalni siarki poprzez budowę rekreacyjnego zbiornika wodnego było planem pionierskim, wybitnym osiągnięciem polskiej nauki, inżynierii. Jedną z najkosztowniejszych i najdłuższych inwestycji ekologicznych w Polsce. W dodatku sfinansowaną bez udziału funduszy z UE. Powstał duży akwen o nieprzeciętnych walorach, określany jako „cud ekologii” oraz cała nowa kraina przyrodnicza zwana Pojezierzem Tarnobrzesckim. A wszystko to, w już dobrze znanym na krajowym rynku zagłębiu turystycznym jakim jest Sandomierz i Baranów Sandomierski.

Historia zagalopowała się. Czy w tym samym punkcie na ziemi, jedna osoba, może najpierw mieszkać w rodzinnym domu, potem pracować w kopalni, likwidować ją, budować zbiornik wodny, a obecnie wypoczywać. Wszystko to było możliwe w okresie niespełna 40 lat a to jeszcze nie koniec wywrotowych zmian. Historia przyspieszyła tu nieprawdopodobnie. Przez setki lat na tym terenie istniało kilka wsi. Biorąc pod uwagę, że w Miechocinie (dziś dzielnica Tarnobrzega położona nad jeziorem) już w XII wieku była parafia, to do lat sześćdziesiątych XX wieku trudno mówić o większym postępie. Wówczas ziemia zatrzęsała się i kilka kilometrów dalej w sąsiednim Machowie a potem Kajmowie, ruszyło wydobycie „polskiego złota”. Dwie wsie szybko zniknęły wraz z pokładami ziemi a kilka okolicznych osad oczekiwało na taki los. Takich sentymentalnych żeglarzy, którzy z pokładu jachtu czy kajaka szukają swojego domu na jeziorze, wspominają dzieciństwo i górniczą pracę jest niewiele. Kawał życia został pod wodą, obciążenie emocjonalne jest za duże, trudno się zrelaksować i z atrakcji akwenu raczej nie korzystają. Ale są i tacy którzy wybudowali już nowe domy, w niedalekiej okolicy starego, teraz dzielnicach turystycznych. Mimo tylu zmian i uczuć bardzo mieszanych nie opuścili tego miejsca. Może dożyją kurortu na bazie leczniczych wód siarczkowych, bo i takie są tu pomysły. Po tym co już osiągnięto nie można tego wykluczyć, szczególnie, że miejscowa ludność słynie z długowieczności.

Pozostał krajobraz księżycowy i bomba ekologiczna. Po jednej z największych kopalni odkrywkowych na świecie pozostał krajobraz księżycowy. Głębokie na 110 metrów, o powierzchni 560 ha wyrobisko widoczne z kosmosu, przez miejscowych wciąż często zwane „dołkiem”. Biorąc pod uwagę jego rozmiar, skalę ingerencji w środowisko i społeczeństwo, to wydobycie siarki na tym terenie trwało krótko – zaledwie 22 lata. Dobra koniunktura szybko skończyła się, pozostawiając wielką bombę ekologiczną: jeden z najbardziej zdegradowanych przyrodniczo obszarów kraju i groźbę skażenia wód powierzchniowych (Wisły) siarkowodorem. To doskonały przykład ryzyka w branży górniczej. Możliwość wystąpienia znacznie poważniejszej zagłady stała się przyczyną jednej z największych inwestycji ekologicznych w Polsce. Pionierską w realizacji, jedynej tego rodzaju, nieporównywalnej z inną. Jej wizytówką jest Jezioro Tarnobrzesckie oraz nowa kraina przyrodnicza zwana Pojezierzem Tarnobrzesckim (jedna z jej części nosi nazwę Jeziórko). Ulokowana jest w widłach Wisły i Łęgu na obrzeżach Puszczy Sandomierskiej i Wyżyny Kielecko-Sandomierskiej a dokładniej pomiędzy nimi.

Kopalnia siarki „Machów” po zaprzestaniu wydobywania w 1992 r. jako pierwsza w kraju zajmowała się wyłącznie naprawą zniszczeń przemysłowych. Wciąż czeka na dokończenie rekultywacji sąsiedni akwen po kopalni w Piasecznie. Oddalony o 2 km od Jeziora Tarnobrzesckiego ale po drugiej

stronie Wisły, co jest dodatkową atrakcją. Tam w otoczeniu sandomierskiego okręgu sadowniczego też powstaje malowniczy, rekreacyjny zbiornik wodny o powierzchni 160 ha.

Stworzyli jeziora, kanały, góry, pola, lasy, łąki – nową krainę przyrodniczą. Nazwa Jezioro Tarnobrzezkie oficjalnie funkcjonuje dopiero od 2013 r. Wcześniej nazywano je Zalewem Machowskim czy Zbiornikiem „Machów”. Natomiast starsi miejscowi do dziś idą „na dołek” a nie nad jezioro co już



jest sporą zagadką dla przyjezdnych. O jego rozmiarze świadczy także fakt, że samo napełnianie go wodą trwało ponad 4 lata (od 2005 do 2009 r.). Musiała być pierwszej klasy czystości a pochodziła z pobliskiej Wisły. Jeszcze przed tym ceny działek na przetargach były licytowane nawet z 25-krotnym przebicciem. Bardzo szybko na terenie kopalni, w strefie górniczej co ciekawe, powstało pierwsze osiedle mieszkaniowe. Niektórzy już wtedy wiedzieli i wierzyli w to, co tu powstanie, pomimo niemałych, nieustannych problemów z finansowaniem tej inwestycji. Wielu sceptyków nie dopuszczało życia czy wypoczynku pod kominami, nad składowiskiem odpadów niebezpiecznych. Obok zresztą cały czas funkcjonuje strefa przemysłowa a przetwarzaną w pobliskich zakładach chemicznych siarkę ciągle można poczuć. Dziś już wiemy, że nie jest to barierą dla tłumów wypoczywających i można połączyć przemysł z turystyką. Niektórzy gródek siarki poszukują nawet jak bursztynu nad morzem. Obecne jezioro to 455 ha wody, 42 m głębokości i doskonałe warunki do żeglarstwa, windsurfingu, nurkowania, łowienia ryb, wszelkich innych aktywności wodnych i nie tylko. Ziemię z wyrobiska wywożono na oddalone o kilka kilometrów składowisko zwane potocznie „zwałką”. Dziś na tym sztucznym, także atrakcyjnie rekultywowanym wzniesieniu funkcjonuje stok narciarski oraz tereny leśne, łowieckie, obfitujące w dziką zwierzynę, oczka wodne. Powstała zupełnie nowa, stworzona od podstaw przez człowieka kraina przyrodnicza zwana Pojezierzem Tarnobrzezkim. Obok dwóch dużych akwenów, również kilkadziesiąt małych jezior, kanałów o łącznej powierzchni 300 ha. Do tego tysiące hektarów lasów, łąk, pól uprawnych.

Tysiącletni kościół nad jeziorem. Historia wysiedlonych przez siarkę wsi sięga początków państwowości polskiej. O tych zasłużonych okolicach pisał w swoich kronikach Jan Długosz. Na skarpie w Miechocinie 500 metrów od brzegu jeziora stoi jeden z pierwszych kościołów w archidiecezji krakowskiej z XII wieku. Najstarszy zabytek, kolebka Tarnobrzega a zarazem parafia wysiedlonych. Cudem uratowany został przed ekspansją kopalni. Dziś dodatkowo jest również jednym z najlepszych, najwyższych punktów widokowych na Jezioro Tarnobrzezkie i okolicę.

Jezioro Tarnobrzezkie naj, naj, naj... Liczne rekordy Jeziora Tarnobrzezkiego. 10 lipca 2010 roku otworzył nowy rozdział w historii miasta i regionu. Czas ten okazał się znacznie bardziej związany z wielką wodą. Kiedy północna część Tarnobrzega tonęła i płakała jeszcze po „tysiącletniej” powodzi w południowej pierwszi turyści po 16 letnim oczekiwaniu, wchodzili z radością i niedowierzaniem do innej nowej ale też ogromnej wiślanej wody. Taki był niezwykle, dramatyczny zbieg okoliczności, w jednym niedużym mieście. Ten fakt ma również istotne znaczenie dla zrozumienia specyfiki Jeziora Tarnobrzezkiego. Nie jest to zbiornik retencyjny jak większość znanych dużych sztucznych akwenów. Nie mógł uchronić regionu od powodzi, choć taki jest tu bardzo potrzebny ze względu na duże tym zagrożenie. Poza rolą zabezpieczenia ekologicznego szkód górniczych jakie pełni, w użytkowaniu ma charakter wyłącznie rekreacyjny. Tak był od podstaw zaprojektowany i wykonany. Tym samym trudno go też porównywać z innymi akwenami zbudowanymi przede wszystkim w celach przeciwpowodziowych, energetycznych czy zaopatrzenia w wodę. Dlatego też w wielu walorach wypoczynkowych, ważnych dla turystów jest bezkonkurencyjny i słynie z takich rekordów.

Pionierski projekt, unikatowy w skali świata. Przede wszystkim to największy w Polsce ze sztucznych akwenów wykorzystywany tylko w celach wypoczynkowych. Inwestycja unikatowa na światową skalę i w pełni już zrealizowana. Z dumą możemy pokazać ją nawet najbardziej wybrednym gościom. Zabezpieczenie wyrobiska po kopalni siarki poprzez budowę zbiornika wodnego było planem pionierskim, nikt na świecie wcześniej nie wykonał podobnego. To wybitne osiągnięcie polskiej inżynierii jakich nie mamy wiele. Jedna z najkosztowniejszych, najdłuższych inwestycji ekologicznych w Polsce. Powstał spory akwen wodny w południowej części kraju, określany jako „cud ekologii”. Raj dla turystów, miłośników sportów wodnych, wędkarzy, nurków, interesuje też inwestorów. Jest już profesjonalna stacja wodniacka z 40 miejscami noclegowymi. W planach apartamentowce, hotele, ogromny kompleks wypoczynkowo-rekreacyjny a może i kurort. Już powstała najdłuższa w Polsce tyrolka. Tworzy atrakcyjny cel dla zwiedzających i chcących usłyszeć niepowtarzalną historię i to bezpośrednio od ludzi którzy ją tworzyli. W tym celu, na początek można się udać do jedyne-go na świecie muzeum przemysłu siarkowego w Tarnobrzegu oraz skorzystać z bogatej oferty miejscowych organizacji krajoznawczych. Czy w jednym miejscu może wydarzyć się tak dużo w bardzo krótkim czasie? Czy zdegradowany region przemysłowy może być w pełni przywrócony przyrodzie i stać się jednocześnie atrakcyjnym produktem turystycznym? Już wiemy, że tak.

Rekordowe koszty. Rekultywacja terenów posiarkowych jest jedną z najdroższych inwestycji ekologicznych w Polsce. Choć wartość całego przedsięwzięcia wyniosła ponad 1,5 miliarda zł, to już wiadomo, że zabraknie środków na wykonanie całego planu. Prace trwały przez 20 lat, dwukrotnie dłużej niż pierwotnie zakładano. Dodajmy, że nie jest to projekt współfinansowany z funduszy UE i obciąża bezpośrednio polskiego podatnika.

Wyjątkowe atrakcje dla wodniaków. To co zwraca pierwszą uwagę to krystalicznie czysta woda. Z relacji nurków dowiemy się że jezioro ma wyjątkowe walory. Dzięki dużej przejrzystości do samego dna, czyli na głębokość 42 metrów dociera światło słoneczne i nie ma potrzeby używania latarki. To czwarty najgłębszy ze sztucznych zbiorników w kraju, jeszcze słabo spenetrowany. Na dnie łąka z niespotykanej jezierzycy i specjalne atrakcje – różne pozostałości po kopalni a może i osadach.

Najdłuższa w południowej Polsce piaszczysta plaża – 3,2 km. Czysta, z łatwym, wyprofilowanym zejściem do ciepłej (do 25°C) wody. W upalne dni odwiedza ją ponad 30 tys. osób dziennie a corocznie w sumie około 400 tys. Przy tak ogromnej frekwencji służby ratunkowe ustanawiają kolejny krajowy rekord bezpieczeństwa. Po sześciu sezonach na wodzie utonęła tylko jedna osoba i to dopiero po znacznym spożyciu alkoholu.

Dla żeglarzy, surferów to obiekt na którym odbywają się regaty we wszystkich klasach. Równiny mikroklimat powoduje, że wiatry są mocne, niezakłócone, a zafalowanie dochodzi do 1 metra przy prędkości wiatru 15 m/s. Doceniają to wodniacy na śródlądziu. Wędkarzy przyciągają okazy drapieżników: stada okoni i dużo ponadmetrowych szczupaków, widziano też sandace, sumy. Oficjalne rekordy to: 117 cm – szczupak i 14,6 kg karp.

Nad urokliwą, jeszcze bezludną wyspą, która jest jedną z pereł jeziora, powstał najdłuższy w Polsce zjazd linowy. Tzw. „tyrolka” mierzy 520 metrów. Różnica poziomów wynosi 20 metrów, co pozwala uzyskać prędkość zjazdu do 60 km/h.

Gratka dla lotników, pasjonatów fotografii lotniczej. Dwa sztuczne jeziora przedzielone doliną Wisły, pośród kwitnących sadów a obok Sandomierz przyciągają podniebnych turystów. Łatwa dostępność, usytuowanie przy głównych szlakach tranzytowych regionu, co jest znaczącym atutem terenów przemysłowych, powoduje że zatrzymuje się tu wielu przypadkowych podróżnych. Zbiornik położony jest tylko 4 km od centrum miasta, co przyciąga tłumy spacerowiczów i rowerzystów.

Dodajmy, że przepływająca przez te tereny Wisła, zaledwie 100 m od Jeziora Tarnobrzkiego, jest w tym miejscu obszarem ochronnym w ramach programu Natura 2000. Występują tu rzadkie, zagrożone gatunki roślinności i zwierząt. Ze względu na szczególnie cenne walory przyrodnicze, to ważny korytarz ekologiczny nie tylko w skali Polski ale i Europy. Miejsce przyciąga przyrodników, fotografów natury a także chętnych na bardziej ekstremalne spływy kajakowe.

Dzięki akwenowi Tarnobrzeg znalazł się w szczególnym położeniu – centrum nadwiślańskiego trójkąta turystycznego. Tworzy je z od lat cenionymi na krajowym rynku markami: Sandomierzem i Baranowem Sandomierskim.

Marcin Piasek
marcin.piasek@vp.pl

Historia hydromasażu

Każdy z nas zna to cudowne uczucie odprężenia ogarniające ciało po kąpieli pod prysznicem lub w wannie, zwłaszcza po odbyciu długiej i uciążliwej podróży, wędrownie czy wycieczce. Obecnie, oprócz tradycyjnych urządzeń kąpielowych mamy do dyspozycji rozwiązanie kombinowane czyli wanny i kabiny natryskowe z systemem hydromasażu. Mają one swoją historię sięgającą zamierzchłych czasów. Nie od dziś wiadomo, że człowiek potrafi być wyjątkowo twórczy gdy w grę wchodzi jego dobre samopoczucie i zdrowie. Mamy obecnie szczęście być świadkami twórczości wyjątkowo bogatej, której efektem są w tym przypadku urządzenia najwyższej klasy.

Historia masażu wodnego zaczęła się już w starożytności, o czym informują liczne dzieła pisane. Wówczas nie stosowano jeszcze zabiegu określanego dziś jako „hydromasaż” – znaczenie miała woda jako środek leczniczy, pielęgnacyjny i upiększający. Hydromasaż to kombinacja masażu i hydroterapii, czyli wodolecznictwa inaczej zwanego też hydroterapią. Miała ona zastosowanie już w czasach człowieka pierwotnego – nasi przodkowie z pewnością doświadczyli, podświadomie wprowadzając, leczniczego wpływu kąpieli w rzece, wodospadzie lub jeziorze. Klasyczny masaż i hydroterapia istniały zawsze obok siebie, by połączyć się na dobre w 1956r. Ale o tym później.

Pierwsze wzmianki o zastosowaniu wody jako środka leczniczego odnaleziono w najstarszym indyjskim zabytku literatury, traktacie Rigweda powstałym przypuszczalnie między 1500 a 1200 r. p.n.e. Modlitwy i teksty filozoficzne zawarte w nim były przez wiele lat przekazywane ustnie. Wszystkie ówczesne zbiorowiska ludzkie opierały swoje istnienie na wszechstronnym wykorzystaniu wody rzek, przy których były skupione. Woda świętych rzek takich, jak Nil, Jordan, Jang-Tse-Kiang i Ganges otaczana była kultem religijnym i wykorzystywana do celów leczniczych. Wierzano, że woda zmywa choroby i przywraca równowagę ducha. Kąpiel w wodach Jordanu podnoszono do rangi obrzędu religijnego – po niej zanikały choroby i pasożyty skóry (dziś wiadomo, że działa się tak dzięki zawartym w wodzie związkom siarki i magnezu; podobne właściwości mają wody jeziora Genezaret). W Egipcie popularne było stwierdzenie „jest Nil – jest Egipt, nie będzie Nilu – nie będzie Egiptu”. Medycyna egipska szeroko korzystała z tradycyjnych, stosowanych na wsiach, metod leczenia. Kodeksy lekarskie Horusa i Imhotepa (egipskiego uczonego działającego ok. 2600r p.n.e.) opisują te zapożyczenia, a księgi Thotha informują, że kąpiele były jednym z podstawowych zabiegów o charakterze nie tylko leczniczym ale i magiczno-mistycznym.

Opisy wodoleczniczych praktyk pochodzą z Egiptu, Syrii i Babilonii. Stosowano je w Chinach i Indiach, także w obecnej Europie wśród plemion germańskich, słowiańskich i innych. Również z Chin i Indii pochodzą zabiegi masażu doskonalone następnie przez wschodnich terapeutów. Określenie „spartańskie warunki” pochodzi z 800 r. p.n.e. i oznacza kąpiele w zimnych łaźniach nakazywane przez Likurga, półlegendarnego króla Sparty. Nakazom tym podlegały nawet dzieci. Około 500r. p.n.e. z Egiptu i Babilonii do Grecji przyniósł hydroterapię Pitagoras z Samos, założyciel słynnej szkoły pitagorejskiej. Około 440 r. p.n.e. doskonalenie i opisywanie licznych zabiegów wodoleczniczych kontynuowane było przez „ojca medycyny”, głównego przedstawiciela szkoły lekarskiej na wyspie Kos, lekarza greckiego Hipokratesa. Częścią jego dzieła „Corpus Hippocraticum” były pisma „Prognozy koskie” poświęcone wszystkim doświadczeniom lekarskim autora i wydane 100 lat po jego śmierci. Hipokrates zwracał baczna uwagę na temperaturę wody użytej do zabiegów a także pisał o masażu jako jednym z głównych zabiegów leczniczych. Po nim, około 30 r.p.n.e. pisał na ten temat rzymski lekarz Kornelius Celsus w swoim dziele „O medycynie” tłumaczonym później na wiele języków jako klasyczny podręcznik sztuki lekarskiej. Następnym uczonym piszącym w tej dziedzinie był około 150 r. p.n.e. drugi po Hipokratesie najslawniejszy lekarz starożytny, reformator lecznictwa i przyboczny lekarz cesarza Klaudius Galenus. Grecja, jako państwo o wysokiej kulturze artystycznej i sportowej, nie mogło istnieć bez masażu i wody, szczególnie podczas igrzysk olimpijskich. W owym okresie Rzym był ośrodkiem rozwoju wykorzystania wody w lecznictwie. Budowano wodociągi zaspokajające coraz większe zapotrzebowanie na wodę, wznoszono liczne łaźnie

publiczne będące miejscem spotkań towarzyskich (np. termy Karakalli z ok. III w. p.n.e. mieszczące 6000 osób). Coraz większą popularność zdobywały kąpiele w wodzie ciepłej.

W początku I w. p.n.e. lekarz rodem z Bitynii Asklepiades przebywał w Rzymie dokąd z Grecji przeniósł wiedzę m.in. o wodolecznictwie. Zdobył on wielkie uznanie stosując wbrew dotychczasowym zasadom proste i naturalne środki lecznicze jak dieta, ruch, świeże powietrze, masaż, kuracje wodne i parowe. Swoje metody opierał na naukach Demokryta i filozofii epikurejskiej wzbogaconych o zasadę „pewnie, szybko i przyjemnie” – stworzył w pewnym sensie podstawy naturopatii, czyli doktryny leczniczej opartej na związkach człowieka i natury.

Średniowiecze to okres zastoju w dziedzinie medycyny profesjonalnej. Ciało człowieka, traktowane jako swoiste tabu, przestało być w centrum uwagi a nawet często obchodzono się z nim okrutnie. Zabiegi naturopatyczne, zioło – i wodolecznicze przetrwały ten trudny okres dzięki tajnym praktykom czarownic i znachorek, przez „świątłych” medyków palonych masowo na stosach i odwiedzanych tłumnie przez najuboższych. W okresie tym zabiegi medyczne podlegały pewnej specjalizacji, przy czym coraz bardziej stanowiły one domenę ludowych terapeutów. Medycyna oficjalna stanowiła odrębną dziedzinę a jej praktyki polegały często na przedziwnych i okrutnych torturach noszących miano „kuracji”.

W XVI w. nadworny lekarz królów francuskich chirurg Ambroże Paré zauważył, że masaż zastosowany chorym po operacjach przynosi im ulgę. W swojej pracy naukowej ogłosił masaż jako oficjalną metodę leczenia. Jego następca Friedrich Hoffman żyjący w XVII w. rozwinął i udoskonalił techniki masażu opracowując program dla poszczególnych jednostek chorobowych.

Wiek XVII przyniósł rewolucję w naukach przyrodniczych. Liczni medycy i ludowi terapeuci powracają, mniej lub bardziej świadomie, do zabiegów stosowanych tysiąc lat wcześniej. Medycyna oficjalna coraz bardziej pochłania praktyki ludowego lecznictwa. Wykorzystanie do celów leczniczych zwykłej wody gospodarczej (wodolecznictwo) i wód mineralnych (lecznictwo zdrojowe) stało się przyczynkiem do zakładania łaźni publicznych oraz uzdrowisk. W Polsce najśłynniejszą łaźnię założyli w Pińczowie w końcu XVII w. bracia Myszkowscy. Ojcem polskiego lecznictwa zdrojowego jest Wojciech Oczko, lekarz nadworny Stefana Batorego i Zygmunta Starego. Później jego dzieło kontynuował kolejny wielki zasłużony Józef Dietl zwany ojcem polskiej balneologii (pierwszy sklasyfikował polskie wody mineralne). Dziedzina ta stanowi odrębny szeroki temat.

W wieku XVIII, czasach „ucieczki od cywilizacji” i „powrotu do natury” popularne stały się hasła głoszone przez J. J. Rousseau. Spowodowało to wzrost zainteresowania przyrodą, tzw. prostymi ludźmi i ich zwyczajami. Rozpoczął się ważny okres dla hydroterapii. Tym razem prosty chłop, później uznany lekarz-naturalista, Wincenty Priessnitz wzbudza ogólne zainteresowanie swoimi metodami leczenia zimną wodą. Dziś uznaje się go za jednego z twórców nowoczesnej hydroterapii. Priessnitz już w młodości udzielał porad lekarskich, a w I poł. XVIII w. utworzył w swym gospodarstwie zakład leczniczy mający ogromne powodzenie. Do polewań i natrysków stosował m.in. węże gumowe – odtąd zabiegi te nazywa się do dziś prysznicami. Dzięki swoim sukcesom i liczny pacjentom Priessnitz szybko zdobył sławę skutecznego doktora. Jego metody lecznicze były później szczegółowo opisane przez licznych lekarzy profesjonalistów.



Wincenty Priessnitz

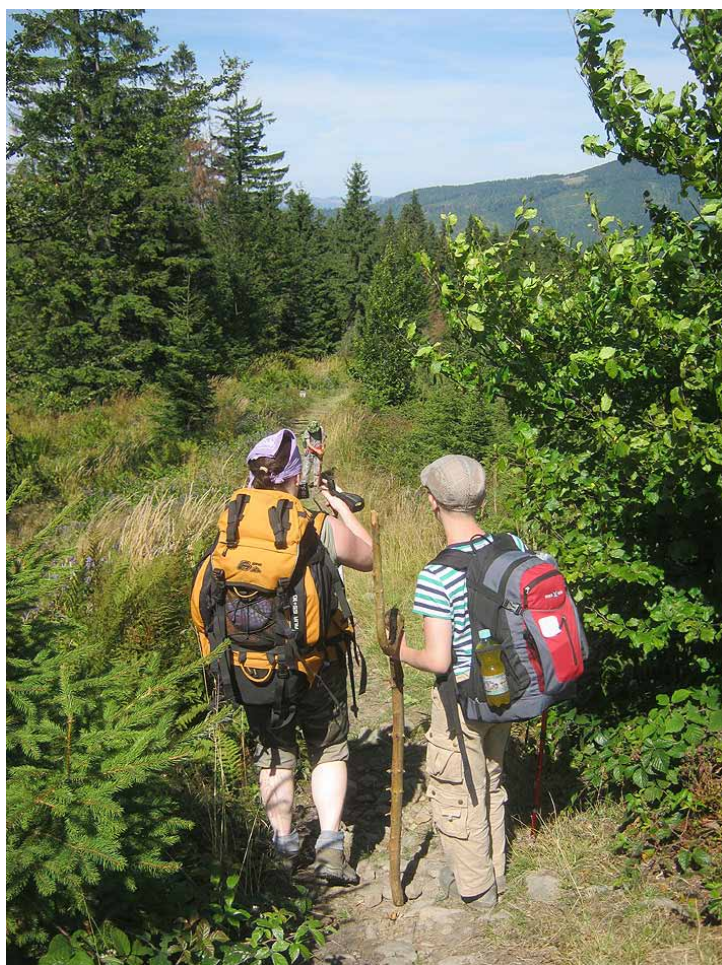
cdn.
Anna Rumińska

Lepiej nosić niż się prosić...

Tytułowe hasło znane jest chyba prawie wszystkim pieszym turystom. Dziś jego znaczenie nieco przybladło, postęp cywilizacyjny, który nastąpił od początku lat 90-tych ub. wieku uwolnił turystę od konieczności zamiany w wielbłąda tudzież jucznego osiołka. Oczywiście nie brakuje amatorów klasycznej wędrowki „na ciężko” z pełnym rynsztunkiem biwakowym. Przeważa styl „na pół-ciężko”, czyli od schroniska do schroniska ze wszystkim prócz namiotu. Turysta zabiera jakąś rezerwę żywności, sprzęt kuchenny, ubranie gwarantujące wygodę w każdych warunkach, śpiwór i karimatę, itp. Inne warianty to wędrowka „na pół-lekko” i „na lekko”. Spróbujmy opisać te trzy style wędrowki i sposoby wyposażenia turysty, przy czym ostatni może być stosowany głównie w oparciu o stacjonarną bazę wypadową, choć nie tylko.

„Na pół-ciężko” to styl przeważający w turystyce górskiej przez całe dziesięciolecia i praktykowany na równi z tym „na lekko”. Po prostu albo turysta wędrował „od – do”, albo kwaterując w domu wczasowym (FWP) lub pensjonacie wychodził na jednodniowe wycieczki w góry. W założeniu na „pół-ciężko” to wyprawa w oparciu o schroniska górskie lub inne miejsca noclegowe – bazy studenckie, chatki. Jak wyżej wspomniałem zakłada się niemal całkowitą samowystarczalność na szlaku. Ważnym, podstawowym elementem wyprawy jest możliwość w miarę wygodnego noclegu. Turysta korzysta ze schronisk, ale jest przygotowany na brak miejsc w pokojach więc niesie karimatę i śpiwór. To rozwiązanie klasyczne. Jest w znacznym stopniu samowystarczalny „gastronomicznie” mając zaopatrzenie na kilka dni. Zapasy uzupełnia przechodząc przez wsie, przecież zawsze co parę dni trafi się na jakiś sklep w dolinie. Najtrudniej jest w Beskidzie Niskim między Krynicią a Komańczę, to rozległy teren i najmniej zepsuta cywilizacją. W innych rejonach Beskidów zaopatrzenie nie stanowi problemu. W Sudetach też raczej nie trzeba głodować. Śpiwór i karimata zapewniają możliwość noclegu nawet w przepełnionym schronisku, ba, nawet w szałasie, jakiejś wiacie lub podobnym miejscu, własna kuchenka, naczynia i przybory umożliwią sporządzenie posiłków. Trzeba mieć zawsze tylko zapas wody, najlepiej 1.5 litrową butlę „na twarz”. Do tego zestaw bielizny i ubrań zapewniających możliwość zmiany na wypadek zmoknięcia, apteczka, latarka i zapasowe baterie, świeca i zapalki, zestaw nici i solidnych igieł, pasta do butów lub impregnat, mapa i kompas, telefon z wpisanymi numerami alarmowymi i numerami schronisk. To podstawowe niezbędne drobiazgi, czasem o nich zapominamy.

Współcześnie coraz mniej turystów wędruje z takim wyposażeniem. Wygodniej jest korzystać z bufetu w schronisku niż nosić zapas jedzenia. Chodzi o główne posiłki, wiadomo że każdy turysta ma ze sobą jakieś produkty, choćby dodatki do posiłków. Jednak wybór dań w schroniskach jest przeważnie tak duży,



Na granicznym grzbiecie w Beskidzie Żywieckim

że może zaspokoić nawet dość wybredne gusty i potrzeby. Tak jest w średnich i dużych schroniskach. W tych małych zaopatrzenie i oferta gastronomiczna jest skromniejsza.

Styl „na pół-lekko” niewiele się różni od poprzedniego, ale sprawia, że turysta mniej się męczy, za to wydać musi więcej pieniędzy. Podstawowe wyposażenie jest takie samo, jednak w plecaku nie ma już naczyń, paliwa, kuchenki, śpiwora i większego zapasu jedzenia. Dodatkowo środki trzeba wówczas przeznaczyć na pościel w schronisku (to przeważnie 6 do 10 zł doliczone do noclegu), a przede wszystkim na posiłki. Tu uwaga: Zamiast klasycznego śpiwora można wziąć poszwę z kory na kołdrę lub jedwabny „śpiworek” ważący kilka dkg i zajmujący tyle miejsca, co 2 pary skarpet. Ten drugi doskonale zastępuje schroniskową pościel, ma jedną wadę – jest bardzo drogi (250 – 290 zł), jednak „zarabiamy” zastępując tradycyjny śpiwór 1 – 2,5 kg i dużo miejsca w plecaku. Wystarczy wsunąć się w „toto” i przykryć kocem, które są na wyposażeniu pokoi w większości schronisk. Taki wariant wyposażenia ma swoje zalety, można się spakować w plecak o pojemności 45 – 50 l zamiast w 65 – 75 (lub większy) i zaoszczędzić najmniej 3 kg na plecach. Poza tym odpadają takie czynności jak pakowanie śpiwora, sporządzanie posiłków, mycie naczyń. Wadą jest mniejsza samowystarczalność i mniejszy komfort przetrwania w sytuacjach awaryjnych na szlaku, no i znacznie większe koszty. Zdajemy się wówczas niemal całkowicie na to, co zastaniemy w schronisku, bez możliwości jakiegokolwiek samodzielnego manewru w postaci choćby zastępczego noclegu: w krzakach, w kosówce, na kamieniach przed schroniskiem (do wyboru) – to wariant bardzo popularny np. w 5 Stawach w Tatrach.

Styl „na lekko” praktykowany jest powszechnie przez turystów działających w oparciu o stacjonarną bazę noclegową. Przeważnie na kwaterę (hotel, pensjonat) przyjeżdża się samochodem, można zabrać wiele więcej niż gdy turysta musi się spakować wyłącznie do plecaka. Na wycieczkę zabiera się tylko przedmioty niezbędne na trasie. Zazwyczaj są to wycieczki jednodniowe, rzadziej dwudniowe na trasie: kwatera – schronisko – kwatera. W tym wypadku też oparciem w górach jest schronisko i zawartość portfela. Dość często turyści nieco lekkomyślnie podchodzą do tych jednodniowych wycieczek traktując je jak zwykły spacer za miastem. Stąd braki w wyposażeniu i niemiłe przygody na szlaku. Najczęstsze przypadki to zbyt późny powrót z gór na kwaterę bez światła. Nie biorę latarki, **bo przecież jest lato**, a potem telefony do GOPR, że nic nie widzę i nie wiem, jak zejść. No, ale gdy się siedzi miło przy piwku w schronisku, a czas biegnie przy pogwarkach to w końcu robi się ciemno. Pół biedy gdy niebo czyste, a noc księżycowa, wtedy da się iść i to całkiem nieźle, ale gdy niebo zachmurzone, a do tego mgła i na dokładkę pada to już tak miło nie jest. Często turyści zapominają o zabraniu rezerwowej odzieży, a tu wieczorem robi się zimno i koszulka z krótkim rękawem raczej przed chłodem nie ochroni – no, **bo przecież jest lato**. No to przypominam: Zawsze trzeba mieć w plecaku kurtkę przeciwdeszczową, jakiś cienki polar, rękawiczki, czapkę oraz apteczkę i mapę. To nie jest tak, że lato w górach wygląda tak samo, jak na nizinach. W „głupich” Beskidach temperatura wieczorem może latem spaść do 10, a nawet 5 stopni. Gdy w ciągu dnia było 25 – 30 i organizm przyzwyczajony przez kilka tygodni do takich temperatur zetknie się z takim chłodem może być nieciekawie. Nie można demonizować gór i pogody, ale trzeba być przygotowanym na różne warunki.

Juliusz Wyślouch



Wejście na Praszywkę Wielką

Wspomnienie o Profesorze Krzysztofie R. Mazurskim

Trudno było pogodzić się ze smutną wiadomością – telefonem jaki nadszedł z Centralnej Biblioteki PTTK informującym o nagłej śmierci naszego Kolegi, Profesora Krzysztofa Radosława Mazurskiego. Kilka dni temu otrzymałem od niego życzenia wielkanocne, a przed miesiącem napisał recenzję jednego z rozdziałów do redagowanej przeze mnie monografii o dziedzictwie kulturowym Ojcowskiego Parku Narodowego. W Ojcowie bywał kilkakrotnie na organizowanych przez nas konferencjach naukowych, w czasie których wygłaszał referaty i na spotkaniach Komisji Krajoznawczej ZG PTTK. Zawsze aktywny, życzliwy, służący radą i pomocą. Niejednokrotnie korzystałem z jego doświadczenia w pracy krajoznawczej, zwłaszcza gdy przyszło mi obejmować po nim kierowanie Komisją Krajoznawczą ZG PTTK.

Krzysztofa poznałem na zjeździe Studenckich Kół Naukowych Geografów w kwietniu 1969 roku w Juracie. Było nas tam około sto osób ze wszystkich ośrodków geograficznych Polski. W zjeździe tym brał udział także Krzysztof reprezentujący ze swymi kolegami ośrodek wrocławski. O ile pamiętam miał wówczas referat, może nawet wyróżniony. W Juracie krążyła wówczas wiadomość, że Krzysztof kończy właśnie studia i wkrótce ma pracować na uczelni – w Uniwersytecie Wrocławskim. Po prawie tygodniowym pobycie nad morzem wszyscy wrócili do swych zajęć i tak urwał się bezpośredni mój kontakt z nim na ponad 30 lat! Co pewien czas tylko miałem okazję zapoznawać się z jego licznymi publikacjami. Pisał dużo i drukował swe prace w różnych czasopismach naukowych i krajoznawczych. Pamiętam jego udział w zjazdach Polskiego Towarzystwa Geograficznego i wygłaszane referaty. Na zjeździe w Sosnowcu w 1998 r. prowadził jedną ze zjazdowych sesji, w czasie której wygłaszałem także swój referat; zadał mi wówczas pytanie z prośbą o dodatkowe objaśnienie jednej z ilustracji. Nie miałem odwagi aby w przerwie sesji przypomnieć mu się o naszym wspólnym udziale w studenckim zjeździe w Juracie w 1969 r. Krzysztof był już wtedy znanym profesorem. Potem jeszcze raz go spotkałem na kolejnym zjeździe geografów w 2000 roku w Szklarskiej Porębie.

W rok później (sierpień 2001 r.) odbywał się Centralny Zlot Krajoznawców CZAK w Tarnowie. Krzysztof był aktywnym uczestnikiem tego zlotu jako członek Komisji Krajoznawczej ZG PTTK, zwłaszcza na otwartym zebraniu Komisji, w którym każdy uczestnik zlotu mógł brać udział. Dla mnie było to pierwsze spotkanie z tak liczną rzeszą krajoznawców. Po zakończeniu CZAK zaprosiłem Krzysztofa do Ojcowy, gdzie wraz z synem zatrzymał się w drodze powrotnej do Wrocławia. Przypominaliśmy wtedy zjazd kół geografów w Juracie sprzed 32 laty i nasze pierwsze tam spotkanie. A potem zachęcony przez Basię i Zbyszka Twarogów zostałem wybrany do kilkunastoosobowego składu Komisji Krajoznawczej, której Krzysztof został przewodniczącym i kierował nią przez dwie kadencje. Od tego czasu



CZAK Opatówek 25.05.2006. Fot. Maciej Maśliński

po upływie tylu lat nawiązaliśmy stałą współpracę i trwałą przyjaźń. Krzysztof brał udział we wszystkich zebraniach naszej Komisji i w zlotach CZAK. Można było wyczuwać jego silną osobowość, profesjonalizm w krajoznawstwie, dużą wiedzę, a przede wszystkim wielkie doświadczenie w PTTK, w pracy krajoznawczej i wydawnictwach. Pisał dużo, był w tej dziedzinie tytanem pracy. Wystarczy spojrzeć do katalogu autorskiego Biblioteki Narodowej czy Jagiellońskiej aby się przekonać o liczbie jego znaczących publikacji. Ten ogromny dorobek musiał budzić pewną zawiść u niektórych



Kongres Krajoznawstwa Polskiego 2010. Fot. Maciej Maśliński

osób, nie wszyscy się zgadzali z jego obserwacjami i stanowiskiem prezentowanym w swoich pracach. Pamiętam jak jedna z jego publikacji na temat krajoznawstwa w PTTK wywołała niezbyt przychylną reakcję niektórych członków Towarzystwa. Ktoś nawet zarzucił mu, że autor nie zna kontekstu pierwszych lat powojennych, zwłaszcza kiedy wkrótce po wojnie w bardzo trudnym dla nas okresie nastąpiło połączenie PTK i PTT i opierał się tylko na „papierach”. A na czym miał się oprzeć? Tuż po wojnie miał zaledwie kilka lat życia i nie mógł znać tych wydarzeń i politycznego kontekstu z autopsji. Musiał więc zapoznać się z różnymi dokumentami, przyjrzeć się im krytycznie, przeanalizować je, by wreszcie zająć własne stanowisko. Taką metodę wybiera każda osoba zajmująca się historią jakiegokolwiek okresu, organizacji czy nauki. Stawiane mu więc zarzuty były co najmniej niestosowne i świadczyły o braku orientacji w metodologii prac naukowych i wydawniczych.

Krzysztof bardzo sprawnie kierował Komisją Krajoznawczą, profesjonalnie wręcz panując nad wszystkimi jej pracami, zwłaszcza gdy już znacznie okrojono liczbę członków i przypadało więcej prac na jedną osobę. Pod koniec drugiej kadencji zapowiadał wprawdzie w kameralnym gronie, że nie zamierza więcej kandydować do składu Komisji ale nikt z nas nie przyjmował tego do wiadomości. Zaskoczył jednak wszystkich swą decyzją o rezygnacji w wyborach do Komisji w styczniu 2010 roku. Mnie wówczas przypadło objąć po nim tę funkcję. Krzysztof pozostał jednak wśród nas jako osoba współpracująca z Komisją. Miałem więc okazję utrzymywać z nim stały kontakt, korzystać z jego rad i doświadczenia. Rozmawialiśmy nieraz wiele, opowiadał mi, w nawiązaniu do pierwszego spotkania sprzed ponad 30 lat, że nie wszystkie plany naukowe udało mu się zrealizować. Po ukończeniu studiów pierwszą pracę podjął nie na Uniwersytecie Wrocławskim tak jak zamierzał lecz w PTTK, potem jeszcze kilka razy zmieniał pracę i wreszcie trwale związał się z Politechniką Wrocławską. Z rozmów wynikało, że jego droga naukowa nie była łatwa, swą tytaniczną pracą musiał pokonywać sporo różnych trudności aby dojść do tytułu profesorskiego realizując równocześnie swe pasje krajoznawcze i łącząc je ze społecznymi funkcjami w PTTK aż do wiceprezesa Zarządu Głównego PTTK włącznie. Odnosiłem wrażenie, że nie zawsze był dobrze rozumiany w środowisku PTTK co czasem dyskretnie wyznawał. Nie było mu dane znaleźć się wśród prelegentów na uroczystej sesji w setną rocznicę utworzenia Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w październiku 2006 roku w Warszawie. Ktoś zadbał o to by Krzysztofa wykluczyć z zespołu przygotowującego ten piękny skądinąd jubileusz. Przyjmował to wszystko i znosił wręcz z ewangelicką cierpliwością i spokojem. Czasem odnosiłem wrażenie, że jest traktowany zbyt poufale i za bardzo koleżeńsko przez naszą krajoznawczą społeczność, tak jak się traktuje rówieśników z ławy szkolnej w środowisku małych latów. A przecież nie był

tylko zwykłym członkiem PTTK sprowadzającym swą więź z Towarzystwem do opłacania rocznych składek (takich statystów jest przecież wielu w PTTK), był przede wszystkim profesorem zwyczajnym z bardzo dużym dorobkiem naukowym i publicystycznym.

Na pewno będzie nam brakować jego doświadczenia i wiedzy. Ile jeszcze mógł opracować i napisać. Znane są jego przewodniki po różnych trasach Sudetów i mnóstwo krajoznawczych artykułów. Po niedawnym wydaniu książki o historii turystyki sudeckiej przygotowywał encyklopedię Karkonoszy, której nie dane mu było ukończyć. To niestety duża strata dla poznawania tych gór. Któż je lepiej znał od Krzysztofa – ich przyrodę, historię, kulturę i turystykę!

Nagle odejście Krzysztofa zaskoczyło nas wszystkich. Żegnamy Go ze smutkiem mając jednak tę świadomość, że był wśród nas ktoś o tak ogromnym potencjale twórczym, z którego dorobku mogliśmy czerpać i uczyć się wiele. Do gigantycznej literatury jaką po sobie zostawił Profesor Krzysztof R. Mazurski przyjdzie nam niejednokrotnie sięgać by dalej podtrzymywać polskie krajoznawstwo, w którego rozwój i trwałość tak wiele wniósł niedawno zmarły nasz Kolega i Przyjaciół.

Józef Partyka

Smutny komunikat

Od kolegi z Wrocławia otrzymałem smutny komunikat: Zmarł Krzysiek Mazurski. Wiadomość od jego syna sprzed 15. minut. Andrzej Rumiński.

Przekazałem komunikat do grupy internetowej związanej z działalnością RPK PTTK i zacząłem wspominać wspólną działalność. Poniżej zestawienie tytułów referatów wygłoszonych podczas naszych Śląskich Sympozjów Krajoznawców.

Nr SSK	Tytuły referatów Krzysztofa R. Mazurskiego
I	Środowisko twórcze Głucholazów na przełomie XIX i XX wieku
II	Pierwsze przewodniki dolnośląskie po 1945 r.
III	Regionalizm w PTTK na przykładzie Dolnego Śląska
IV	Intelektualna inspiracja Krajoznawstwem
VII	Problemy zachowania zabytków architektury ewangelickiej na Śląsku
XVII/10	Szwedzi i ich szanse na Dolnym Śląsku
XVIII/11	Śląsk po drugiej stronie granicy
XX/13	Prehistoria Śląskich Sympozjów Krajoznawców

Od roku 1995 dla członków „4K” Korespondencyjnego Klubu Kolekcjonerów Krajoznawców wydawałem kwartalnik Biuletyn Kolekcjonerski, który od roku 2001 przyjął postać kolumny „Na kolekcjonerskim szlaku” w miesięczniku „Na szlaku”. Redaktor Naczelny Krzysztof R. Mazurski podczas prawie 100 numerów kończył e-maile pozdrowieniem „...trzymaj się Heniek...” a sam nie zastosował się do tego!.

Cześć Jego pamięci

Henryk Paciej
PTTK Opole

Żegnamy Krzysztofa R. Mazurskiego

W przedostatnim dniu marca 2016 r. wszystkimi krajoznawcami i przewodnikami turystycznymi wstrząsnęła tragiczna wiadomość. Serce Krzysztofa Mazurskiego przestało bić! Była to szokująca wiadomość, w którą trudno było uwierzyć. Nagle okazuje się, że ten pełen energii, zapału, sił twórczych, wspaniały człowiek, wybitny krajoznawca, autor wielu, bardzo wielu przewodników turystycznych zmienił szlak z sudeckiego na niebiański.

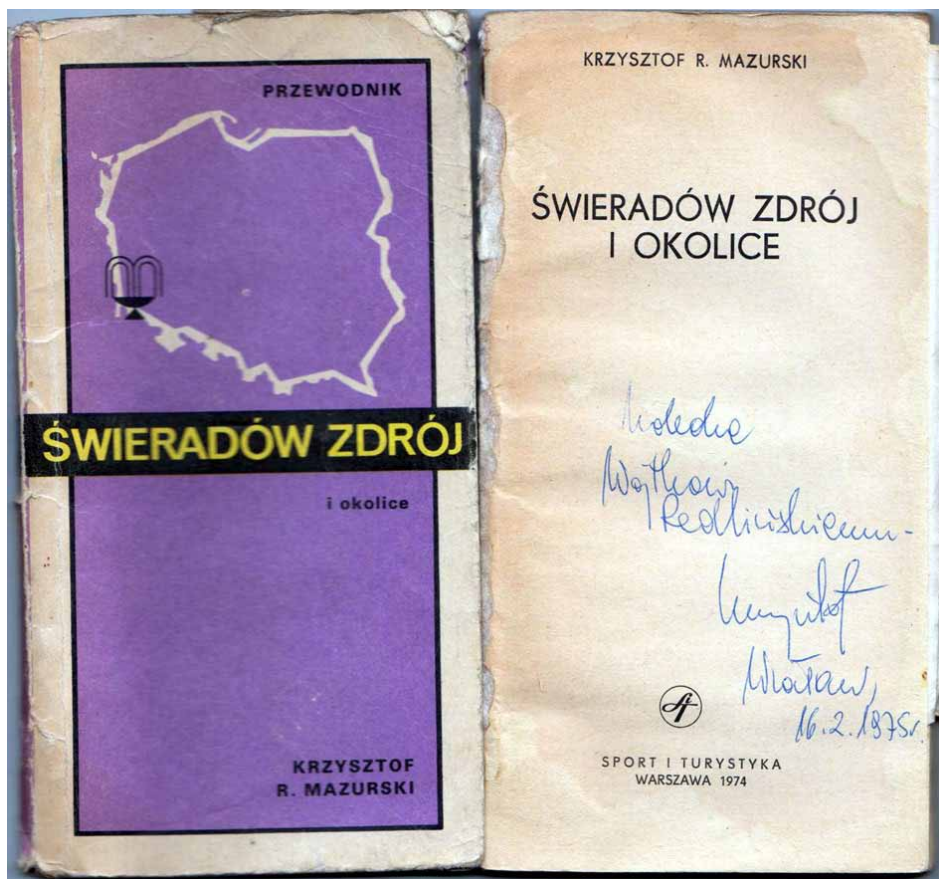
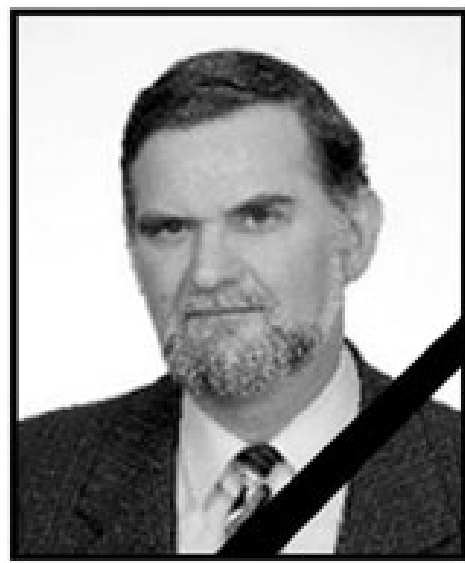
Urodzony w Warszawie, od najmłodszych lat związany z Wrocławiem, gdzie w 1947 r. przeprowadzili się jego rodzice. Tu ukończył II LO, tu studiował geografię na Uniwersytecie Wrocławskim. Znajomości Sudetów, zarówno na wykładach, jak i na wycieczkach uczył go wspaniały profesor Wojciech Walczak. Profesor to autor wielu monografii naukowych i podręczników akademickich, ale i publikacji popularnonaukowych (np.: *Ziemia Kłodzka, Karkonosze*), czy przewodników turystycznych (np.: *Sudety Środkowe i Wschodnie, Góra Ślęza*).

Krzysztof Mazurski wiele podróżował. Początkowo zwiedzał Sudety, potem doszły Łużyce, wreszcie kraje europejskie i śmiało można powiedzieć prawie cały świat (no, może beż Antarktydy). W ostatnich latach zwiedził min.: RPA, Malte, Albanie i Bałkany. Z podróży zawsze zamieszczał relacje w magazynie *Na szlaku*, którego był Redaktorem Naczelnym.

Nie czas tu i miejsce na omawianie przebiegu całej pracy zawodowej Krzysztofa. Trzeba jednak wspomnieć, że poszedł w ślady swojego mistrza – Wojciecha Walczaka – i wybrał karierę naukową. Pracując na kilku uczelniach, m.in. na Akademii Ekonomicznej i Politechnice Wrocławskiej, doszedł w 1998 r. do godności profesora nauk ekonomicznych. Doszedł to tego ciężką pracą naukową. Lista jego publikacji obejmuje ponad 350 pozycji. W swojej działalności naukowej zajmował się głównie sozologią, regionalizacją oraz krajoznawstwem i turystyką. Jego ważniejsze publikacje to m.in.:

Antropogeniczna destrukcja środowiska rolniczego Dolnego Śląska (Akademia Rolnicza, Wrocław 1988), *Zagrożenia środowiska Dolnego Śląska* (Oficyna Wydawnicza Sudety, Wrocław 1994), *Podstawy sozologii* (wydane w tej oficynie w 1998 r.), czy *Geografia turystyczna Sudetów* oraz *Tereny zielone uzdrowisk sudeckich* (obydwie wydane również w Oficynie Wydawniczej Sudety w 2003 r.).

Nie sposób nie wspomnieć o ulubionej postaci historycznej profesora – księżniczce Mariannie Orańskiej. Zafascynowany nią, postanowił nie tylko zrekonstruować przebieg jej życia, ale szukał uzasadnienia dla zrozumienia jej postawy i zachowań tak, aby były one



czytelne dla polskiego czytelnika, dla którego postanowił napisać książkę o Mariannie. Był więc okres kilkuletnich poszukiwań i odwiedzin miejsc, w których żyła, szperania w dokumentach, literaturze. Trzeba było odnaleźć zamek Reinhartshausen w Erbach, gdzie Marianna zmarła i została pochowana, trzeba było przejrzeć liczne tomy dokumentów w archiwach Hohenzollernów, trzeba było prowadzić przez kilka lat bogatą korespondencję z różnymi osobami i instytucjami. Ukazały się dwa wydania książki: *Miłość i dramaty Królowny Marianny* (Oficyna Wydawnicza Sudety, Wrocław 2000). O niezwykle żmudnej pracy świadczyć mogą: 239 przypisy, 102 pozycje piśmiennictwa i 55 ilustracji.

Praca naukowa Krzysztofa R. Mazurskiego nie ograniczała się jedynie do wykładów i zajęć ze studentami, czy publikacji naukowych. Wiele czasu poświęcał na recenzję prac naukowych i aktywny udział w konferencjach. Przykładowo podam, że recenzował publikację powstałą po międzynarodowej konferencji naukowej *Conditions of the foreign tourism development in central and east Europe*, organizowanej przez Instytut Geografii Uniwersytetu Wrocławskiego w 2000 r. Publikacja licząca 432 strony obejmowała 33 teksty naukowców z wielu krajów Europy (oczywiście Krzysztof też brał w niej udział i wygłaszał swój referat). W 2002 r. brał czynny udział m.in. w konferencji *Aktualny stan i zadania przewodnictwa górskiego w Polsce*, organizowanej przez Akademię Wychowania Fizycznego im. B. Czecha w Krakowie. Był również promotorem prac doktorskich, np.: w 2010 r. wypromował na Uniwersytecie Gdańskim dr Anitę Joannę Marek.

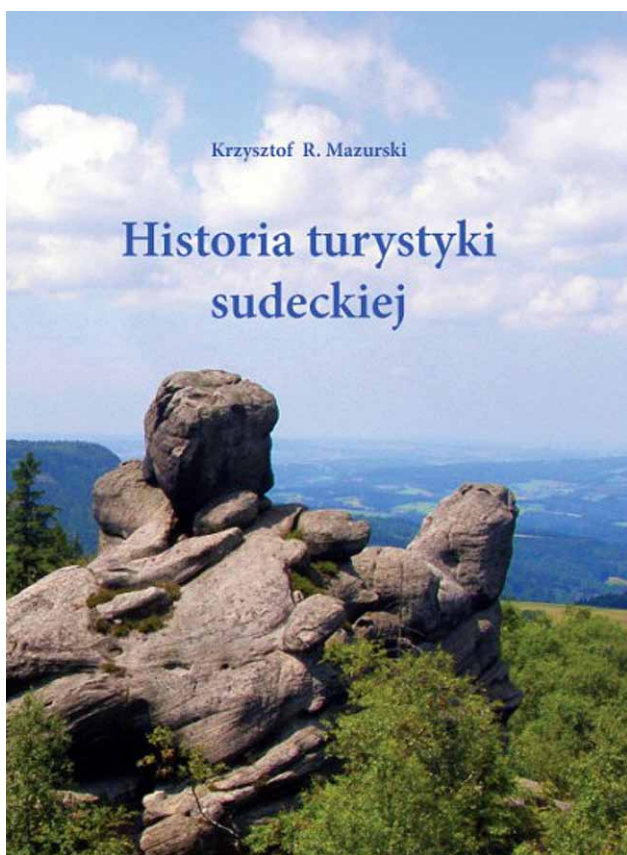
Krzysztof – tak popularnie się do niego zwracaliśmy. Z każdym bowiem z nas, czy to dolnośląskich krajoznawców, czy przewodników, zaraz po poznaniu przechodził na zwracanie się do siebie po imieniu.

Był osobiście organizatorem wielu konferencji, sympozjów, seminariów naukowych, popularno-naukowych czy krajoznawczych. Stały one zawsze na wysokim poziomie naukowym, a to przede wszystkim dlatego, że profesor Mazurski zawsze starał się zapewnić w nich udział wybitnych znawców poruszanej tematyki. Ze względu na rangę i znaczenie warto wspomnieć o krajoznawczym seminarium popularno-naukowym zorganizowanym przez Krzysztofa w ramach cyklu seminariów zainicjowanych przez Komisję Krajoznawczą ZG PTTK – *Mijające krajobrazy*. Seminarium to odbyło się w dniu 10 grudnia 2011 r. w gmachu Wydziału Architektury Politechniki Wrocławskiej i nosiło tytuł: *Dolnośląski krajobraz kalejdoskopem jest*. Organizator sam wygłosił pierwszy referat przedstawiając pojęcie i aspekty krajobrazu zarówno przyrodniczego jak i kulturowego. Kolejni naukowcy, m.in. prof. Alina Droppella-Hermannsdorfer i prof. Barbara Lubicz-Miskiewicz mówiły o ewolucji i zmianach krajobrazu Dolnego Śląska, czy znakach i symbolach z przeszłości Wrocławia. Zaś dr Roman Wytyczak z gabinetu map Wrocławskiego Ossolineum przekazał informację o reliktach średniowiecznego sposobu gospodarowania widocznym do dziś w krajobrazie Gór Sowich.

Ostatnie seminarium popularno-naukowe, jakie zorganizował Krzysztof w ramach działalności Komisji Krajoznawczej Oddziału Wrocławskiego PTTK, której przewodniczył, odbyło się 21 listopada 2015 r. (*Jan Długosz – pierwszy polski krajoznawca*). Niestety kolejnych już nie organizuje. A był choćby plan zorganizowania wspólnie z Komisją Krajoznawczą ZG PTTK ogólnopolskiej sesji w 500. rocznicę powstania Reformacji w Polsce. Nagła śmierć 30 marca 2016 r. wyrwała go z naszych szeregów. Wyrwała w momencie, gdy kończył redagowanie swojego kolejnego dzieła życia *Encyklopedii Karkonoskiej...*

CZEŚĆ JEGO PAMIĘCI !!!

Stanisław Dziuba



Dom turysty już nie dla turysty Zakopane bez bazy turystycznej

Znowu zaczynam, jak kiedyś: Dawno, dawno temu, za górami, za lasami, za siedmioma morzami, w odległej galaktyce... tak, to brzmi dzisiaj jak bajka. Chodzi o Dom Turysty PTTK w Zakopanem. Dawno temu, a może wcale nie tak dawno, gdy turysta przybywał do Zakopanego mógł o każdej porze dnia i nocy iść śmiało do Domu Turysty PTTK i zawsze, co podkreślam, mógł liczyć na nocleg. Nawet jeśli nie było tańszych noclegów w zbiorówkach to znalazł miejsce w mniejszym pokoju za niewielkie pieniądze. Doświadczyłem tego nie jeden raz. Często podczas jednego wyjazdu w góry łączyłem wędrowkę np. w Górcach lub w Beskidzie Sądeckim z wypadem w Tatry. Z Pienin „spadałem” do Zakopanego, często po rozgrzewce na Babiej Górze, zwłaszcza zimą, przemieszczałem się do Zakopanego, a że z dojazdem bywało różnie to i pora zawitania do Zakopanego była różna, najczęściej był to późny wieczór. Gdzie mi tam niemal po nocy szukać jakiejś kwatery? W ciemno szedłem do DT PTTK, gdzie zawsze znajdowałem nocleg. Dom Turysty był prawdziwym oparciem dla plecakowego turysty. Dzisiaj w całym Zakopanem NIE MA takiej bazy! Zamiast DT jest luksusowy hotel z niebotycznymi, jak dla przeciętnego mieszkańca naszego kraju cenami. Zresztą standard oferowany w tym hotelu do niczego turyście nie jest potrzebny. Turyście potrzebny jest standard schroniskowy – w górach i nazwijmy to hostelowy w mieście. Potrzebny jest duży obiekt pełniący tę samą rolę co dawny Dom Turysty. W podgórskich miastach wybudowano gigantyczne „gargamele” (vide Karpacz i Wisła) wizytowane przez osoby używające karty kredytowej zamiast plecaka. Dołączył do nich hotel w murach dawnego Domu Turysty. Niech tam sobie korzystają z tego, skoro jest popyt może być i podaż, ale dlaczego pozbawia się turystów wędrujących bazy o turystycznym standardzie? Nie ma dzisiaj bazy turystycznej w Zakopanem, w tej „zimowej stolicy” Polski, a może nawet „turystycznej stolicy” kraju. Szeroka oferta rozmaitych zakopiańskich pensjonatów, kwater i hoteli nie może zastąpić tego, co dawał turyście dawny DT PTTK. To jest baza pobytu. Po pierwsze dlatego, że takiemu turyście potrzebne jest najczęściej miejsce na jedną – dwie noce, dostępne przez całą dobę, z lokalizacją w centrum Zakopanego. Po drugie nikt nie będzie szukał kwatery ad hoc późnym wieczorem, czy w środku nocy, to nie ma sensu. Turysta wędrujący nie będzie też rezerwował jakiegoś pokoju na jedną noc, ponieważ często przybywa do Zakopanego „bez uprzedzenia”. Choć tych potencjalnych miejsc noclegowych jest bez liku, to nie nadają się do obsługi



Pomnik „Ratownikom Górskim” (W. Hasior 1959) na tle Domu Turysty w Zakopanem na widokówce z lat 60.

turysty plecakowego (tak go umownie nazywajmy). Przybywając do Zakopanego około południa, no jeszcze około godz. 15, 16-tej można przy pomocy „busika” przenieść się w pobliże drogi prowadzącej do schroniska i dalej powędrować na Ornak, do Chochołowskiej, do Kondratowej, nawet do Murowańca, o ile pozwoli pogoda. Wymaga to jednak sporego uporu, bo choć niektóre po drodze, to są to przejścia w najlepszym przypadku min. 2 – 3 godzinne. Poza tym z Murowańca mogą odesłać na dół, nawet w środku nocy (już tak bywało). Jak wiemy schronisko nie udziela noclegów na podłodze, przynajmniej oficjalnie taka informacja widnieje na stronie w necie.

Liczę na to, że Spółka „Schroniska i hotele PTTK Karpaty” w niedługim czasie utworzy w Zakopanem bazę dla **zwykłego turysty górskiego**, takiego co to nie potrzebuje SPA, jakuzzi, salonów masażu i kryształowych żyrandoli. Nie musi to być wielki obiekt, jakim był Dom Turysty, ot hostel dysponujący nie więcej niż 100 miejscami noclegowymi z bufetem, w sensownej lokalizacji.... Tylko, czy dożyje tego?

Aha. Dla członków PTTK ex Dom Turysty oferuje zniżki w wysokości 10% ceny podstawowej. Specjalna oferta to np. 390 zł za noc. Żart!

Juliusz Wysłouch

Komunikat

Z przyjemnością zawiadamiamy, iż w trosce o zwiększenie dostępności turystycznej Schroniska PTTK Orlica, w dniu 31.04.2016 otwarta zostanie kładka na niebieskim szlaku prowadzącym z Sokolic, w miejscu dotychczasowej przeprawy promem.

Zapraszamy serdecznie do korzystania z tego udogodnienia.

Trzy pierwsze osoby, które przejdą przez kładkę będą mogły przenocować u nas bezpłatnie.

Pozdrawiamy serdecznie.

Gospodarze Schroniska PTTK Orlica

www.orlica.com

Od Redakcji: W dniu 2.04.2016 przyszła wiadomość z PTTK Orlica że ten komunikat to żart Prima-Aprilisowy!

Sprostowanie

W artykule „Książę Bolko Hochberg von Pless”, który ukazał się w styczniowym numerze „Na szlaku” (2016-01) autor śp. Ambroży Grzenia napisał, że: „Podziwiając przepiękne labirynty sławnego zamku Książ koło Wałbrzycha ...” wprowadził błędną informację o lokalizacji zamku. Jak podaje Marek Staffa w *Słowniku geografii turystycznej Sudetów* t. 10, str. 265, do połowy XVIII wieku zamek Książ leżał na terenie księstwa świdnickiego. Od połowy XVIII wieku do 1818 roku obiekt przypisany był do powiatu świdnickiego, by w 1945 roku znaleźć się w granicach powiatu wałbrzyskiego. Od 1951 do 1973 roku zamek znajduje się na obszarze Szczawienka w powiecie wałbrzyskim, by po 1973 roku znaleźć się na terenie Wałbrzycha. Późniejsze zmiany związane są ze zmianami przynależności administracyjnej Wałbrzycha w związku ze zmianami administracyjnymi Polski. W chwili obecnej zamek Książ znajduje się na terenie działki nr 41 obręb 0051 Gmina Wałbrzych powiat Wałbrzych województwo dolnośląskie.

Wojciech Tumidajewicz

Wędrowiec Małopolski

Z Rzeszowa dostaję „regularnie” pocztą „Nieregularne wydawnictwo turystyczno-krajoznawcze PTTK Wędrowiec Małopolski”. Tym razem otrzymałem nr 31 z 2015 r. o objętości 120 stron. Wydawany jest przez Regionalną Pracownię Krajoznawczą przy Oddziale PTTK im. M. Rachwała w Rzeszowie, ul. Matejki 2, 35-064 Rzeszów.

Patron Oddziału, mgr Mieczysław Rachwał (14.07.1909 – 3.04.1979) – był znanym mecenasem w rzeszowskim środowisku adwokackim w latach 1950-1970. Z oddziałem PTTK w Rzeszowie związany w latach 1957-1979. Piastował w tym czasie wiele funkcji społecznych z wyboru we władzach okręgu i oddziału PTTK w Rzeszowie. Od 22 lutego 1968 roku do śmierci przez 5 kolejnych kadencji był prezesem oddziału PTTK, a przez 8 kolejnych kadencji członkiem władz oddziału. Był jedną z osób, które czyniły staranie u władz miejskich przez wiele lat, w wyniku których w dniu 26 sierpnia 1981 roku Oddział PTTK w Rzeszowie otrzymał akt notarialny przydzielający w całości budynek przy ul. Matejki 2 na własność dla PTTK w Rzeszowie. Przez okres 2 lat (1998 i 1999) trwały przygotowania do nadania oddziałowi PTTK imienia Mieczysława Rachwała. Dnia 6 marca 1999 roku dla upamiętnienia 90 rocznicy urodzin i 20 rocznicy śmierci podczas walnego zebrania delegatów oddziału podjęto uchwałę o nadaniu Oddziałowi PTTK w Rzeszowie im. Mieczysława Rachwała (www.pttk.rzeszow.pl e-mail: pttk@pttk.rzeszow.pl).

Warto poznać to czasopismo z wieloma ciekawymi tekstami o tematyce turystycznej i kolorowymi zdjęciami. Spis treści zawiera rozdziały:

Z TEKI KRAJOZNAWCY: *Antoni Hadała*, Most gigant imieniem Tadeusza Mazowieckiego; *Małgorzata Jarosińska*, Wędrówka po cmentarzach Rzeszowa (cz. 2); *Andrzej Karczmarszewski*, Łemkowie i Bojkowie w opisach Wincentego Pola; *Zbigniew Maj*, Bieszczadzkie kolejki wąskotorowe; *Jacek Magdoń*, „Przez zbrodnie do gwiazd”; *Łukasz Śpiwła*, Wietrzna – miejscowość na Pogórzu; *Andrzej Wesół*, Podkarpaccy Cichociemni – Michał Fijałka, ps. „Kawa”, „Sokół”, „Wieśniak”.

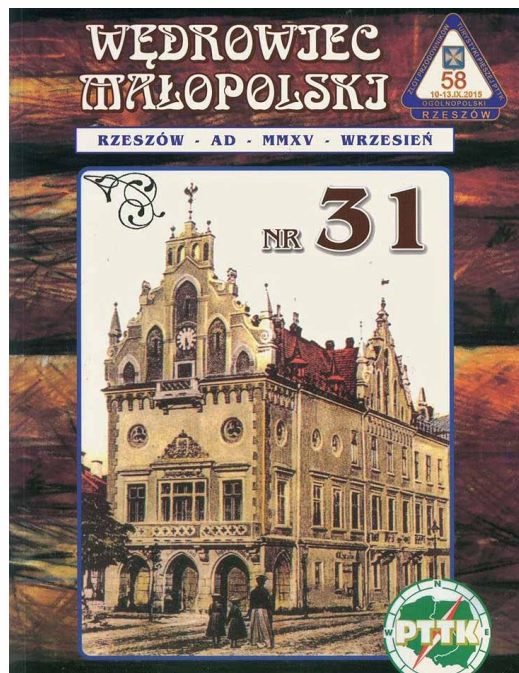
NASZE DZIAŁANIA: *Tomasz Dziurawiec*, Wyjazdowe posiedzenie Komisji Turystyki Górskiej PTTK w Rzeszowie; *Jadwiga Korbecka*, XV Jubileuszowy Rajd Górski „Bieszczady 2015”; *Stanisław Polański*, 58 Ogólnopolski Zlot Przewodników Turystyki Pieszej PTTK w Rzeszowie.

SYLWETKI: Mieczysław Winiarski – Przewodnik (1956-2015).

WYRÓŻNIENIA DLA NASZYCH DZIAŁACZY: *Tadeusz Ficek*, „Pigmej” na historycznym piedestale miasta Rzeszowa; *Antoni Hadała*, Turystyczna „Ciocia” bardzo znana i szanowana na niwie kraju.

RÓŻNOŚCI: *Agnieszka Marek*, Hej, flisacza dziatwo; *Marian Irzyk i Jerzy Klus*, Kapliczka niemy świadek tragicznych wydarzeń; *Andrzej Wesół*, Żubry bez Pulpita – Pulpit bez żubrów czyli samotne żubrze wędrówki po Podkarpaciu.

Andrzej Rumiński



NA SZLAKU - magazyn turystyczno-krajoznawczy

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego wydawane przez Oddział Wrocławski PTTK od 1987 r.

Magazyn odznaczony "Złotą Honorową Odznaką PTTK" w 2002 r. oraz Odznaką Honorową "Za Zasługi dla Turystyki" przyznaną przez Ministerstwo Sportu i Turystyki w 2012 r.

Adres Redakcji:
Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław

Redaktor Naczelny:
Sekretarz Redakcji: **Anna Zygm**
Redakcja techniczna: **Piotr Dacko**
Zespół Redakcyjny: **Andrzej Rumiński**
Webmaster: **Piotr Dacko**
Stale współpracują: **Juliusz Wystouch**



Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Redakcja zastrzega sobie prawo adiacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgadnianych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

ISSN 1230-9931

